TEKA POMORSKA

DWUMIESIĘCZNIK REGIONALNY
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
KULTURY I SZTUKI

NR. 4 TORUŃ, LIPIEC - SIERPIEŃ 1938 ROK III



Stanisław Brzęczkowski *Bydgoszcz, Kościół Garnizonowy,*
akwaforta

»TEKA POMORSKA«, ORGAN KOŁA LITERACKIEGO KONFRATERNI ARTYSTÓW W TORUNIU, DWUMIESIĘCZNIK REGIONALNY POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY I SZTUKI

WYDAWANA Z ZASIŁKIEM STAROSTWA KRAJOWEGO POMORSKIEGO

SPIS RZECZY:

REDAKTOR NACZELNY I ODPOW.: MGR ANDRZEJ BUKOWSKI TORUŃ

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: TORUŃ — RATUSZ

REDAKTOR PRZYJMUJE W PONIEDZIAŁKI OD GODZ. 18—19

ADMINISTRACJA CZYNNA W PONIEDZIAŁKI, ŚRODY I PIĄTKI OD GODZ. 18—20

Cena pojedynczego numeru: 1 zł. Prenumerata roczna: 5 zł.

CZCIONKAMI DRUKARNI S. BUSZCZYŃSKIEGO — TORUŃ, UL. MOSTOWA 13

TEKA POMORSKA

DWUMIESIĘCZNIK REGIONALNY
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY I SZTUKI

NR 4 (12) TORUŃ, LIPIEC - SIERPIEŃ 1938 ROK III

Marian Turwid

PLASTYKA W BYDGOSZCZY

W bydgoskim ruchu artystycznym miejsce pierwsze, bo okupione oryginalnym, poważnym i pokaźnym dorobkiem twórczym — zajęła plastyka. Fakt to nader znamienny i — dodajmy — jak na stosunki rozwojowe w kulturalnych ośrodkach polskich — zupełnie odosobniony. Trudno w ramach niniejszego szkicu kusić się o wykazanie przyczyn tego wyjątkowego zjawiska. Trzeba nam ograniczyć się tylko do stwierdzenia, że gdy o oryginalnych osiągnięciach literackich i muzycznych na terenie Bydgoszczy nie wiele jeszcze można powiedzieć, to plastyka zajęła już sobą, w kronice kulturalnej miasta, kilka dobrze zapisanych kart.

Zapiski te bardzo są jeszcze świeżej daty. Nie można bowiem w Bydgoszczy mówić o tradycjach artystycznych. Wprawdzie miasto nad Brdą było kolebką dwu znakomitych malarzy: Maksymiliana Antoniego Piotrowskiego (1813 - 1875) i Waltera Leistikowa (1865 - 1908), ale obydwaj ci utalentowani bydgoszczanie pracowali daleko poza granicami swego regionu, żadnego przez to nie wywierając wpływu na atmosferę rodzinnego grodu. A atmosfera ta była ze wszech miar niesprzyjająca normalnemu rozwojowi artystycznemu. Urabiano ją przecież, w okresie niewoli pruskiej, w celach nic wspólnego nie mających z nieskrępowaną pracą twórczą.

W rezultacie — środowisko tak znaczne jak Bydgoszcz żyło życiem biernego odbiorcy, nieomal nic w zamian nie dając, nie zdolne do skromnego bodaj wysiłku, w kierunku zaakcentowania swego indywidualnego istnienia duchowego, jakiejkolwiek swej odrębności regionalnej.

To też i do Bydgoszczy stosują się w całej rozciągłości stwierdzenia ks. Bolesława Makowskiego, który w fundamentalnym swym dziele „Sztuka na Pomorzu" powiada słusznie: „Nikt zaprzeczyć nie zdoła, że z powrotem państwowości polskiej nowy wiew twórczego zapału i twórczej pracy przeszedł przez Pomorze" — i dalej: „Niewidzianym dotychczas nigdy jeszcze w historii Pomorza rozma-

chem twórczym zaznaczyły się lata po objęciu przez Polskę dawnych dzierżaw nadmorskich".

Po masowym odpłynięciu elementu niemieckiego polska Bydgoszcz staje się terenem inwazji polskich sił twórczych. Inwazja ta to pierwsza karta bydgoskiego ruchu kulturalnego.

Nie posiadając własnych tradycyj artystycznych i pozbawiona w długich latach niewoli atmosfery sprzyjającej rozwijaniu i kształceniu talentów rodzimych, potrzebowało miasto nad Brdą jak najwydatniejszej pomocy z zewnątrz. Pomoc ta nadeszła. W pierwszych już niemal latach istnienia wolnej Bydgoszczy przybyli nad Brdę: Procajłowicz, Wysocki, Bartel, Dołżycki, Chmura, Giecewicz, Galimski, Mondral, Rupniewski, Gromek, Lewański, Biedowicz, Szmaj, Faczyński, Krassowski, Triebler, Turwid, Mokrzycki i inni.

Mimo że znaczna część tej falangi po kilku latach odpłynęła, niemniej rezultat tej inwazji okazał się kulturalnie nader dodatni. Przybyli przywieźli z sobą poza swym dorobkiem i swymi możliwościami twórczymi cenne doświadczenia zdobyte w najpoważniejszych centrach artystycznych a niezbędne w trudnej, pionierskiej pracy pozyskiwania dla polskiej kultury artystycznej nowego, wielkiego a twórczo zupełnie jeszcze nierozbudzonego środowiska. Część z nich podjęła się ważnej roli wychowawców młodego pokolenia artystycznego a nieomal wszyscy, oczywiście w stopniu zależnym od dynamiki swych talentów, spłacili i spłacają regionowi nadbrdziańskiemu dług wdzięczności za gościnę w postaci wartościowej pracy twórczej.

O tym, że istotnie działalność artystów „napływowych" spełniła i spełnia swoje kulturalne zadanie i że budzi, porywa i uświadamia autochtonów, najwymowniej świadczy cały szereg młodych talentów z gruntu nadbrdziańskiego wyrosłych, którzy doszli do głosu dzięki w dużym stopniu przychylnej twórczości atmosferze, wytworzonej przez plastyków przybyłych Bydgoszczy z sukursem. Teodor Gajewski, Franciszek Gajewski, Bernard Lewandowski, Bronisław Kłobucki, Zygmunt Myszkorowski i inni to utalentowani uczniowie artystów, którzy zapisali się na pierwszych kartach kroniki kulturalnej wolnej Bydgoszczy.

Do autochtonów przynależąc, odmiennymi jednak drogami do poważnych rezultatów doszedł Stanisław Brzęczkowski, syn ziemi bydgoskiej. Zawdzięcza to nie tyle krótkim studiom w Gdańsku i Berlinie, ile wytrwałej pracy i energii, która pomogła mu przezwyciężyć niezliczone trudności, piętrzące się przed utalentowanymi jednostkami, które czasu niewoli, pragnęły na Pomorzu służyć sztuce. Brzęczkowski nie dał się, jak tylu jemu podobnych, złamać przeciwnościom, ale przetrwawszy, jest dziś jednym z najwybitniejszych grafików Pomorza.

Rosnąca z roku na rok liczba plastyków w Bydgoszczy zrodziła niebawem potrzebę zrzeszania się i zorganizowania, już to w celach ideowych, już to w celach obrony interesów zawodowych. I tak powstają: Związek Plastyków Pomorskich, „Grupa Bydgoska", Sekcja Plastyczna przy Radzie Artystyczno-Kulturalnej,

Koło „Bydgost“ i inne. Nie obyło się bez tarć i walk, które przyczyniły się wydatnie do ożywienia życia artystycznego, a także do spotęgowania wysiłków i wzmożenia tętna pracy.

Terenem, na którym poszczególne jednostki a także i całe zrzeszenia stawały do zawodów artystycznych, było Muzeum Miejskie. W życiu plastycznym Bydgoszczy spełniło Muzeum Miejskie rolę wyjątkową. Dysponując niewielką ale wartościową kolekcją dzieł sztuki polskiej, stało się Muzeum Bydgoskie szkołą młodego pokolenia artystycznego. Wypełniło choć w części lukę, jaką był i jest brak poważnej uczelni artystycznej na Pomorzu. Lata ostatnie znacznie jeszcze powiększyły możliwości Galerii Bydgoskiej, gdyż przecież w skład jej weszły bezcenne i bogate zbiory dzieł Leona Wyczółkowskiego oraz kolekcja rzeźb Konstantego Laszczki.

By tak artyście jak i społeczeństwu bydgoskiemu umożliwić zapoznawanie się z bieżącymi osiągnięciami w plastyce polskiej, wzięło na siebie Muzeum Miejskie trud organizowania specjalnych wystaw. I tak ta młoda, bo piętnaście lat zaledwie licząca dziś instytucja, zorganizowała w krótkim okresie swego istnienia przeszło sto poważnych wystaw plastyki polskiej. Przezwyciężając niezliczone trudności, zwalczając nieufność wystawców do nieznanego środowiska oraz walcząc z dużą początkowo biernością społeczeństwa miejscowego, zdołała ambitna placówka zapoznać Bydgoszcz z twórczością najwybitniejszych naszych artystów, że wspomnimy choćby tylko pokazy zbiorowe: Axentowicza, Kędzierskiego, Wyczółkowskiego, Pankiewicza, Augustynowicza, Czajkowskiego, Filipkiewicza i i. Dalej ekspozycje takich zespołów, jak np.: „Sztuka“ krakowska, „Jednoróg“, „Plastyka“ poznańska i t. p.

W ramach działu „Wystaw Bieżących“ odbywały się co roku pokazy prac plastyki bydgoskiej. Poziom tych pokazów rósł z roku na rok, dając coraz pełniejszy, coraz bardziej interesujący przegląd osiągnięć artysty bydgoskiego. Starannie wydawane katalogi tych wystaw to dziś cenne przyczynki do historii współczesnej plastyki pomorskiej. Wspomniane wystawy doroczne przeobrażono w latach ostatnich w Salony Bydgoskie, pragnąc umożliwić wzięcie udziału w wystawie wszystkim pracującym w Bydgoszczy plastykom, niezależnie od ich takiej czy innej przynależności organizacyjnej. W Salonach tych eksponowali swe prace: Brzęczkowski, Czechowski, Faczyński, Frydrych, Gajewscy, Gromek, Hawryłkiewicz, Jańczak, Kłobucki, Krystoszek, Lewandowski, Mokrzycki, Myszkorowski, Rupniewski, Tomczyk, Turwid, Triebler, Tyszkiewicz, Wojewódzki, Vaedtke, Winnicki, Skowroński i i. Trwałym rezultatem wieloletnich wystaw plastyków bydgoskich jest „Dział Regionalny“ Galerii Bydgoskiej, który składa się z zakupionych przez miasto dzieł artystów bydgoskich.

Nie ograniczając się do pokazów w Muzeum Miejskim, wystawiali artyści bydgoscy prace swe także i poza granicami regionu. Zbiorowo występowali z poważnymi ekspozycjami w Poznaniu (w salonach Tow. Przyj. Sztuk Piękn.) i w

Warszawie (Zachęta). Indywidualnie brali udział w całym szeregu wystaw krajowych i zagranicznych.

Coraz bujniejsze i bogatsze życie plastyki bydgoskiej od kilku lat już nie może pomieścić się w dobrze pomyślanych, ale ciasnych ramach dorocznych wystaw organizowanych przy Muzeum. Coraz żywotniejsza staje się potrzeba zorganizowania na terenie Bydgoszczy stałego Salonu Wystawowego. Potrzebę tę prowizorycznie zaspakaja Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, stworzywszy stały salonik wystawowy. Salonik ten umożliwia plastykowi bydgoskiemu, choć w granicach mocno ograniczonych, zademonstrowanie większej kolekcji swych prac. A demonstracje takie są niezbędne, gdy idzie o pełniejsze poznanie charakteru twórczości danej indywidualności artystycznej. Po latach występów kolektywnych, okres najbliższy stanie się niewątpliwie okresem krystalizacji szeregu dobrze zapowiadających się indywidualności artystycznych.

By plastyce bydgoskiej zapewnić ciągłość, coraz większą uwagę poświęca się talentom najmłodszym. Nie udało się, niestety, utrzymać szczęśliwie zainicjowanych kursów malarstwa i rzeźby przy Tow. Naucz. Szkół Wyższ. Znakomicie pomyślana i przez rok przy życiu utrzymywana placówka nie ostała się jednak wobec rozlicznych trudności materialnych. Może w przyszłości próba stworzenia uczelni artystycznej w największym środowisku Pomorza powiedzie się lepiej. Sprawa to bowiem bardzo dużej wagi, jeśli idzie o pełny byt kulturalny Pomorza. Wiekowe zaniedbania na tym polu niepowetowane wyrządziły krzywdy dzielnicy, której talenty marniały i ginęły z braku oparcia przy pierwszych wzlotach twórczych. Do jakiego stopnia stan ten był katastrofalny wystarczy porównać dorobek twórczy plastyki wolnego Pomorza z zastojem i wręcz martwotą na tym polu w długich okresach niewoli.

Z poważną troską o najmłodszych pracuje z poświęceniem bydgoskie Muzeum Szkolne. Zorganizowane przy Muzeum tym Koło najmłodszych malarzy Bydgoszczy „Ultramaryna" już dziś zapowiada szereg interesujących uzdolnień plastycznych. Interesująco również zapowiada się gromadka bydgoszczan kształcących się w najwyższych uczelniach artystycznych w Krakowie i Warszawie.

Zamknijmy nasz zwięzły szkic informacyjny stwierdzeniem, iż w regionie bydgoskim wiele, a nawet bardzo wiele uczyniono na terenie plastyki i w celu podniesienia i krzewienia kultury plastycznej. Z środowiska kulturalnie zupełnie nieomal martwego i biernego przeobraziła się Bydgoszcz w żywotny ośrodek artystyczny. W ramach Wielkiego Pomorza będzie miał ten ośrodek w dziedzinie plastyki bardzo dużo do powiedzenia. Jemu prawdopodobnie przypadnie w udziale trud wywalczenia dla Pomorza równych praw na terenie ogólnopolskich wysiłków artystycznych. Bo nie ulega już wątpliwości, że Bydgoszcz dorasta do stanowiska najmłodszego polskiego środowiska artystycznego. A w interesie bogactwa kultury polskiej leży, aby twórczych ognisk artystycznych było w kraju jak najwięcej.



Teodor Gajewski *Portret Pani Z. T.*, gips



Stanisław Brzęczkowski *Wenecja Bydgoska,* drzeworyt

Andrzej Bukowski

IMPONUJĄCE WIDOWISKO REGIONALNE

Mijają dwa miesiące od wiekopomnych dni 19 i 20 czerwca, w których stolica Pomorza wraz z całą ziemią pomorską przeżywała chwile wielkie, podniosłe, wzruszające. Można je porównać z radosnymi przeżyciami z r. 1920, kiedy po półtorawiekowej niewoli witano entuzjastycznie wojsko polskie, lub z uroczystymi wjazdami królewskimi do Torunia za dawnej Rzeczypospolitej. Na przestrzeni długich wieków nie znajdzie się jednak uroczystości równej charakterem, rozmiarem i wspaniałością.

Gród Kopernika, piękny w swej powszedniej szacie, czarował w te dni strojnością. Każda ulica i każdy dom prześcigały się w ozdobie na przyjazd Naczelnego Wodza. Serca nie tylko mieszkańców stolicy, lecz serca całej ludności rozszerzonego województwa pomorskiego biły zgodnym, harmonijnym taktem okazania Marszałkowi, jako Obrońcy wielkości i potęgi Rzeczypospolitej, najgorętszych uczuć oraz gotowości do wszelkich ofiar. Każde Jego zjawienie się społeczeństwo witało gromkim aplauzem. Na Jego ręce ziemia pomorska złożyła iście wspaniały dar, ogromną ilość broni nowoczesnej, której sam widok radował i wzruszał, gdyż w tajnikach duszy wzmacniał wiarę i ufność w siłę i nieprzezwyciężoność Narodu. Potęgowała tę ufność rycerska postawa hufców pomorskich, które sprężystym, rytmicznym krokiem przedefilowały przed swym Wodzem i które z Jego rąk otrzymały nowe, przez społeczeństwo pomorskie ofiarowane sztandary. Potęgowały tę ufność rozwój i sprawność najnowocześniejszej broni, lotnictwa, którego ośrodek pomorski w obecności Najwyższego Przedstawiciela polskich sił zbrojnych i przy współudziale gości - lotników z całej Polski przeżywał swe wielkie święto z okazji poświęcenia wspaniałego gmachu Aeroklubu Pomorskiego. Podnosiło wreszcie tę ufność wysoce obywatelskie stanowisko rolnictwa pomorskiego, które w dowód zrozumienia zadań, jakie przed nim leżą w zakresie obronności kraju, zamianowało Marszałka Polski swym członkiem honorowym.

Radowało się serce Wodza, wzruszone tylu dowodami sympatii i takimi oznakami głębokiej troski o dobro Ojczyzny. „Na każdym prawie kroku — rzekł — spotykam się z taką tężyzną moralną, z takim patriotyzmem, z taką rozsądną myślą obywatelską, iż mógłbym pomyśleć, że tak jest w całej Polsce".

Radowało się serce Marszałka, gdy na prastarym podwórcu ratuszowym nadano Mu obywatelstwo honorowe miasta Torunia, tego miasta, które w ciągu dziejów było „semper fidelis Poloniae".

Lecz pogodne i zwykle uśmiechnięte oblicze Wodza radowało się najpełniej i najserdeczniej, gdy najmłodsza rzesza obywateli pomorskich, dzieci szkół powszechnych, złożyła mu hołd wspaniałym widowiskiem, hołd godny majestatu królewskiego, hołd, jakim nie uczciła go jeszcze żadna dzielnica Polski . . .

*

Była godzina piąta popołudniu, gdy Marszałek Edward Śmigły - Rydz w otoczeniu swej świty zajął miejsce na trybunie, zbudowanej w kształcie dzioba łodzi. Pogodne czerwcowe słońce złocistą poświatą zalało olbrzymi plac rewii między Wisłą i parkiem miejskim, którego skraj, wznoszący się amfiteatralnie w górę, stanowił naturalną trybunę dla wielotysięcznych widzów. Poza tym las głów kilkudziesięciotysięcznego tłumu zaległ drugą naturalną trybunę w postaci obwałowania placu, na którym wyznaczono mapę Wielkiego Pomorza, a na niej punkty miast pomorskich. Po wewnętrznej stronie obwałowania, na wyznaczonej trasie, ustawiło się do pochodu sześć tysięcy dzieci - aktorów, w barwnych strojach, z transparentami i symbolicznymi przedmiotami, mającymi charakteryzować poszczególne fragmenty widowiska.

Na dany znak, przy dźwiękach pieśni „Ziemio Pomorska", śpiewanej przez międzyszkolny chór toruńskich szkół powszechnych, rusza czoło pochodu. Na przedzie kroczą wielki Orzeł Polski i Gryf pomorski, które, po zbliżeniu się do trybuny Marszałka, zajmują miejsce po obydwu jej stronach. Następnie idą poczty sztandarowe szkół powszechnych i delegacje młodzieży, w imieniu których wita Marszałka dziesięcioletni uczeń jednej ze szkół toruńskich. Bezpośrednio potem rozpoczyna się olbrzymie widowisko pod nazwą „Gryf w służbie Białego Orła".

W pierwszej jego części Marszałek i tłumy widzów oglądają w symboliczny sposób przedstawioną pracę przedszkoli. Oto na czele milusińskich aktorów maszerują mali dobosze w strojach historycznych, bębniąc do taktu marsza, za nimi zaś jadą na białych koniach, zrobionych na wzór „Lajkonika", ułani księcia Józefa Poniatowskiego. Objawiwszy w ten sposób „Kochanemu Wodzowi" swój zapał rycerski, muszą Mu, oczywiście, opowiedzieć także, jakie są ich najmilsze bajeczki. Pokazują więc „Królewnę Gwiazdeczkę", którą łabędzie ciągną na gondoli, „Kopciuszka", który jedzie w złotej karocy, „Gulliwera i liliputów" z okrętem i t. d.

Tuż za częścią pierwszą widowiska następuje cześć druga, dająca odpowiedź na pytanie: „Czego uczymy się w szkole?". Dzieci, demonstrując treść swej nauki za pomocą transparentów, przedmiotów symbolicznych i żywych okazów, za pomocą ilustracyj i inscenizowanych fragmentów dają niezwykle ciekawy i plastyczny obraz swej pracy szkolnej w poszczególnych przedmiotach nauczania, poczynając od religii, a na ćwiczeniach gimnastycznych kończąc. Nie sposób tu chociaż by tylko wymienić wszystkich szczegółów tej części widowiska, zadziwiającej bogactwem i niezwykłością pomysłów, a zachwycającej poziomem i starannością wykonania. Na przykład „Pan Tadeusz" znalazł wyraz we wspaniałym polonezie, który przy dźwiękach orkiestry odtańczyło w strojach staropolskich 60 par dzieci. Nauka historii została zilustrowana osiemnastu obrazami w porządku chronologicznym od Lecha i Mysiej wieży, poprzez „króla chłopków", aż do powstania wielkopolskiego i fragmentu bitwy z r. 1920 z postacią ks. Skorupki.

Osobną grupę stanowią organizacje szkolne, obrazujące przygotowywanie się młodzieży do przyszłej pracy obywatelskiej i państwowej. Tablice poglądowe, wykresy i cyfry wskazują, że ta strona życia szkolnego znajduje się na dobrej drodze rozwoju.

Dwie dalsze części widowiska są odtworzeniem bogactwa historycznego i regionalnego Ziemi Pomorskiej. Najpierw młodzież dwudziestu pięciu miast przedstawia najbardziej charakterystyczne momenty z dziejów Pomorza, związane ściśle z historią swych miast, lub uplastycznia przy pomocy symbolicznych obrazów najistotniejsze cechy danego miasta. Na czele „symbolicznego pochodu miast pomorskich" kroczą mieszczanie toruńscy w strojach z 16 w., którzy zbliżywszy się do trybuny Marszałka, wręczają Mu symboliczny klucz i piernik toruński. Za nimi kolejno postępują poszczególne miasta. Kruszwicę symbolizuje „Piast z kołem" oraz „Ziemowit i aniołowie"; Pelplin — cystersi niosący model katedry; Lipno — bracia dobrzyńscy; Szubin — Sędziwój z Szubina sprowadzający królowę Jadwigę do Polski; Wąbrzeźno — świątobliwy Bernard z Wąbrzeźna; Wejherowo — Jakub Wejher... Niektóre zespoły miast wstępują na podium i w formie scenicznej odtwarzają dany fragment historyczny. Toruń inscenizuje pokój toruński, Tuchola — legendę o powstaniu miasta („Tu hola"), Nowemiasto daje obraz przyjęcia posłów krzyżackich przez Jagiełłę, Brodnica przedstawia Kazimierza Jagiellończyka przyjmującego delegację Związku Jaszczurczego, Inowrocław chlubi się Janem Kasprowiczem, Włocławek na kilku wozach wiezie transparenty i modele obrazujące przemysł tego miasta; podobnie reprezentują siebie Bydgoszcz, Starogard, Chojnice i Gdynia. Zamykają pochód dzieci gdańskie, które meldują Naczelnemu Wodzowi, że ludność polska w Gdańsku trzyma straż nad ujściem Wisły do morza.

Po przejściu zespołów miast i zajęciu przez nie miejsc na mapie Wielkiego Pomorza następuje część piąta widowiska, w której dziesięć regionów rozszerzonego województwa pomorskiego składa hołd Marszałkowi. Każda z grup na tle pieśni regionalnej, śpiewanej przez chór, lub przy dźwiękach orkiestry ludowej podchodzi najpierw pod trybunę honorową i przez usta swego przedstawiciela wygłasza przemówienie, następnie wchodzi na podium, by zainscenizować fragment obrzędu ludowego i odtworzyć charakterystyczny dla danego regionu taniec. Rybacy z półwyspu helskiego ofiarowują Marszałkowi skrzynię flonder; Kaszubi przedstawiają fragment dożynek i tańczą „dżeka" i „szewca"; Kociewiacy inscenizują „wianki"; Borowiacy wręczają Wodzowi łuk z cisu; Dobrzyniacy odtwarzają obrzęd oczepin; Pałucy popisują się oryginalnym oberkiem pałuckim; Lubawiacy tańczą „lubawiaka"; Chełminiacy pokazują, jak się odbywa „pasowanie na kosiarza"; Krainiacy odtwarzają „polkę kraińską"; Kujawiacy, najliczniejsza grupa w liczbie około 60 dzieci, inscenizują obrzęd ludowy p. n. „gaiczek".

Podobnie jak zespoły miast, grupy regionalne, po zakończeniu swych popisów, zajmują miejsca na wyznaczonej na placu mapie Wielkiego Pomorza. Na zakończenie podjeżdża przed trybunę honorową olbrzymi model „Gromu" w otoczeniu marynarzy — młodzieży gdyńskiej, która składa w imieniu młodzieży Wielkiego Pomorza ślubowanie, kończące się słowami: „Twierdzą nam będzie każdy próg". W tym momencie we wszystkich punktach miast zapalają się znicze, a na wielkim krzyżu wzniesionym w dali naprzeciw trybuny honorowej błyska światło. Ogólną pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy" kończy się wielkie, niezapomniane widowisko.

Ks. Władysław Łęga

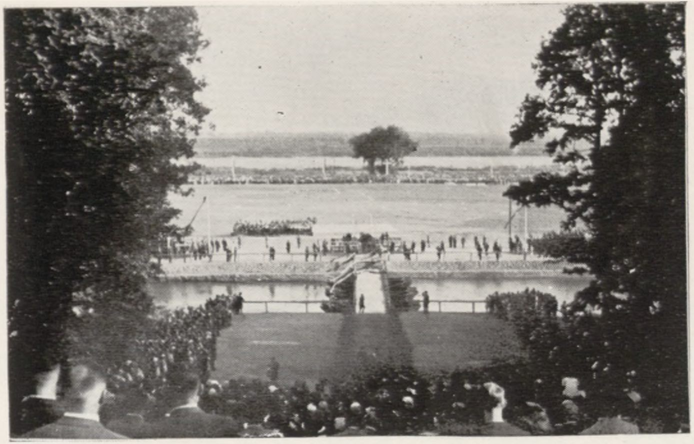
KULTURA PRUS WSCHODNICH A POLSKA

Uczeni niemieccy nazywają Prusy Wschodnie kolonią niemiecką, zdobytą przez trud i znój osadników niemieckich, którzy puszczy leśnej i wrogiej ludności tubylczej wydarli ten kraj i zamienili w uprawne łany. Nie można zaprzeczyć, że to w znacznej mierze istotnie odpowiada rzeczywistości. Kolonista niemiecki odegrał w Prusach Wschodnich poważną rolę. Ale przesadą jest, jeżeli Niemców, mianowicie osadnika niemieckiego, uważa się za jedyny czynnik cywilizacyjny działający na terenie Prus Wschodnich. Trzeba bowiem uwzględnić także inicjatywę i poważny wysiłek żywiołu polskiego, który obok niemieckiego kształtował kulturę dzisiejszych Prus Wschodnich. W pracy tej brali udział książęta, szlachta i chłopi polscy szczególnie ze strony Pomorza, Mazowsza i Wielkopolski.

Około roku 1000 Prusy Wschodnie prawie całkowicie zamieszkałe były przez szczep staropruski. Była to ludność należąca do rodziny Bałtów, spokrewniona językowo i obyczajowo z Litwinami. Byli to poganie, nieumiejący czytać i pisać. Kraj bogaty w lasy, łąki i jeziora wykorzystywali oni głównie dla chowu bydła i rybołóstwa. Rolnictwo i inne gałęzie kultury ludzkiej słabo były rozwinięte.

Teraz postawmy sobie pytanie: Któż to pierwszy zainteresował się tym krajem, stojącym poza nawiasem ówczesnej cywilizacji? Otóż był to nie kto inny jak książe polski Bolesław Chrobry. Polska zorganizowana przez silną dłoń Piastów odczuła w sobie szczytne posłannictwo szerzenia wiary i cywilizacji tam, gdzie ich nie było, mianowicie w kraju Prusów czyli w Prusach Wschodnich. Właśnie Bolesław Chrobry wysłał pierwszego misjonarza do Prus, mianowicie św. Wojciecha, który wydatnie wspierany przez Króla Polskiego, rozpoczął głosić w Sambii, w okolicy Królewca, nauki chrześcijańskie. Bolesław interesował się również wyprawą św. Brunona, który na pograniczu Prus i Litwy pracował. Mało jest jednak znane szerszemu ogółowi, że te wydarzenia były tylko epizodami w całym systemie wysiłków przedsięwziętych przez Bolesława Chrobrego, aby pokojową pracą cywilizacyjną pozyskać Prusy Wschodnie. Dobitnym wyrazem i potwierdzeniem tego dążenia był układ zawarty między Chrobrym a cesarzem Ottonem III, uznający Prusy jako strefę wpływów polskich.

Również następcy Chrobrego niejednokrotnie zwracali uwagę na Prusy. Tak wiemy z kroniki Galla, że Bolesław III jak i Krzywousty przedsięwzięli kilka wypraw do Prus. Głównie jednak wpływy polskie i kultura polska przenikały do Prus drogą pokojowej wymiany przez osadników, kupców, rzemieślników. Przywożąc tu towary, narzędzia, formy obyczajowe i organizacyjne, Polacy stopniowo zaszczepiali zarodki cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Najwięcej powodzenia miały około roku 1200 misje Cystersów wielkopolskich. Popierani przez rycerstwo wielkopolskie i pomorskie założyli oni kilka parafii w zachodniej części Prus Wscho-

1


3


2


4


Fot. Bolesław Zaremba

Z widowiska „Gryf w służbie Białego Orła"

1. *Widok na Plac Rewii — w głębi Wisła.*
2. *Dobosze w strojach historycznych.*
3. *Polonez z „Pana Tadeusza".*
4. *Kazimierz Wielki, — „król chłopków".*



5


6


7


8

Fot. Bolesław Zaremba

Z widowiska „Gryf w służbie Białego Orła“

5. Mieszczanie toruńscy w strojach XVI w. 6. Cystersi niosą model katedry pelplińskiej.
7. Borowiacy — jedna z grup regionalnych. 8. Kujawski „gaiczek“.

dnich, mianowicie w okolicy Sztumu i Malborga. Dla utrwalenia parafii i ochrony osadników polskich rycerstwo polskie zbudowało gród Santyr przy rozłączeniu się Nogatu od Wisły. Wówczas to papież utworzył biskupstwo pruskie, mianując pierwszym biskupem Cystersa Chrystiana. Biskupstwo to stało pod protektoratem książąt polskich i arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Zdawałoby się, że w XIII w., z chwilą przybycia zakonu Krzyżackiego, rola Polski w Prusach Wschodnich się skończyła. Tak jednak nie jest. Przede wszystkim dłuższy czas zakon pozostawał w przyjaznych stosunkach z książętami polskimi, szczególnie pomorskim, wielkopolskim i mazowieckim. Po drugie Zakon, jak wykazały nowsze badania, wydajnie posługiwał się osadnikami polskimi, aby zaludnić opustoszałe obszary Prus Wschodnich. Niemcy bowiem wyjątkowo i bardzo niechętnie osiedlali się w puszczy wschodniopruskiej, stale zagrożonej przez wrogich Prusów. Dotyczy to szczególnie mało urodzajnego pasa na południu Prus Wschodnich. Niemcy osiedlali się przeważnie po miastach, po wsiach zaś Polacy.

Na podstawie dokumentów i badań gwarowych można nawet w przybliżeniu określić, skąd ci osadnicy Polacy przybyli do Prus Wschodnich. Mianowicie całe południowe pogranicze ca 60 km w głąb zaludnili mazowszanie szczególnie Kurpie. Drugie źródło, skąd szło osadnictwo polskie do Prus Wschodnich, było Pomorze i północna Wielkopolska, szczególnie Ziemia Chełmińska i Kujawy. Pomorscy osadnicy zajęli okolicę Malborga, Ostróda i Olsztyna. Tu spotkali się z chłopami mazowieckimi i to pomieszanie się uwydatnia się wyraźnie w niektórych znamionach językowych. Nie wytrzymuje krytyki pogląd niektórych uczonych niemieckich, że ci koloniści przybyli do Prus Wschodnich dopiero po r. 1466 t. j. po utworzeniu Księstwa Wschodniopruskiego, województwa malborskiego i biskupstwa warmińskiego. W gwarach polskich Prus Wschodnich spotykamy bowiem dowody, że osadnicy wspomniani zmieszali się z ludnością staropruską, że język polski zespolił się tu z staropruskim. To byłoby niemożliwe w wieku XV, kiedy istniały już tylko znikome szczątki języka staropruskiego. Wreszcie dokumenty z XIII i XV w. wymieniają takie nazwy osób, miejscowości i rzek, które mogą pochodzić jedynie od osadników polskich.

Prawdą jest jednak, że od XV w. przypływ osadników jako też pierwiastków kulturalnych z Polski do Prus Wschodnich się znacznie powiększył. Przecież wówczas pracowali na terenie województwa malborskiego wojewodowie, starostowie i urzędnicy polscy, na Warmii zaś biskupi i duchowieństwo polskie. W tych to czasach napłynęło do Prus Wschodnich sporo inteligencji polskiej, która nadawała ton w życiu publicznym i obyczajowym. W XVI i XVII w. tętno życia polskiego biło tu tak silnie jak w rdzennie polskich dzielnicach a nawet były okresy, kiedy Królewiec czy Frombork swym poziomem kulturalnym przewyższały miasta polskie. Przecież na początku XVIII w. wychodziła w Królewcu jedna z najstarszych gazet polskich „Poczta Królewiecka"; tu stale drukowano książki polskie o wysokiej wartości literackiej. A Frombork za czasów, kiedy tam działali biskupi polscy

Hozjusz, Kromer, Batory, Potocki, Szembek, Grabowski, Krasicki lub kanonik fromborski Mikołaj Kopernik, Frombork wtedy był pracownią umysłową na miarę europejską.

O wysokim poziomie kultury polskiej Prus Wschodnich świadczą liczne zabytki artystyczne z XVII i XVIII w. rozsiane po miastach i wioskach Prus Wschodnich, że wymienię wnętrze katedry w Fromborku i drzwi kute przy kaplicy biskupa Szembeka, fundowane przez biskupów polskich, obraz malarza polskiego Blanki w Reszlu, malowidła ścienne pędzla Korzeniowskiego w Heilsbergu, pomnik biskupa Batorego w Wartemborku, okazałe wnętrze renesansowe w Świętolipce i dużo, dużo innych. Polacy te dzieła sztuki fundowali, Polacy je wykonywali. Historia sztuki Prus Wschodnich nie może pominąć znaczenia Polski i Polaków dla tej dziedziny kultury wschodniopruskiej. Na Warmii i w ziemi malborskiej nie ma prawie kościoła, gdzie by nie była jaka pamiątka polska. Nieraz całe kościoły fundowała inicjatywa polska, a jeszcze częściej ołtarze, dzwony, chrzcielnice, monstrancje i kielichy.

Jeszcze w XIX w. rozwijało się dość żywo życie polskie w Prusach Wschodnich. Dowodem tego natężenia nastrojów polskich jest fakt, że lud polski na Warmii i Mazurach wydał cały szereg wybitnych działaczy, budzących i podtrzymujących ducha polskiego lub pracujących literacko w duchu polskim. Takimi byli ks. Gustaw Gizewiusz z Jańsborku, którego słusznie nazywają wschodniopruskim Staszicem, Ferdynand Grzegorzewski z Niborka, autor ośmiotomowego dzieła o „Rzymie“ i rozprawy o polskości, Wojciech Kętrzyński z Lecu, wybitny uczony, Mrongowiusz, autor słownika języka polskiego, Józef Łęgowski, etnograf, ks. Barczewski, działacz ludowy, Feliks Nowowiejski, ceniony i nagrodzony kompozytor polski i inni.

Dzisiaj polskość Prus Wschodnich mało się uwydatnia. Żyje ona jednak w języku i w kulturze ludowej tak Mazurów jak Warmiaków. Ich pieśni i podania, zwyczaje, a często także sprzęty i narzędzia są rdzennie polskie i wykazują tak zupełne analogie z kulturą ludową innych ziem polskich, że frapują tą czcigodną tradycją kultywowaną od setek lat mimo ciągłego przecinania tych nici, które niegdyś tak silnie wiązały Prusy Wschodnie z Polską.

Patrząc wstecz na rozwój kulturalny Prus Wschodnich, powiedzieć trzeba, że pierwsze kilkakrotnie powtarzane próby, aby dać Prusom cywilizację, wyszły z Polski. Dzisiejsza ludność Prus Wschodnich to w przeważnej mierze zgermanizowani Prusowie lub Polacy-osadnicy z przymieszką spolonizowanej ludności staropruskiej. Po miastach góruje napływowy element niemiecki, ściągnięty z Niemiec, mały jest tam procent tubylców. Główna praca cywilizacyjna zakonu krzyżackiego wykonana została, jeśli chodzi o osady, głównie z pomocą ludu polskiego, w miastach przez niemców. Jak widać z powyższego szkicu udział Polski w kształtowaniu się kultury Prus Wschodnich jest bardzo poważny i przejawia się po dzień dzisiejszy bardzo silnie, szczególnie w zabytkach architektury i sztuki oraz w kulturze ludowej.

Ks. Kamil Kantak

SPUŚCIZNA LITERACKA PO ALEKSANDRZE MAJKOWSKIM

ZNAJDUJĄCA SIĘ W MOIM POSIADANIU

Mówiąc o spuściźnie literackiej, nie zaliczam do niej korespondencji. Nadmieniam jednak, że pośród ok. stu jego listów do mnie pisanych w latach 1909-22 znajduje się kilka wysłanych z Rumunii podczas wojny, dających tak ciekawy i barwny opis, że można by je niemal zaliczyć do literatury.

W ściślejszej mierze przez spuściznę literacką rozumiem trzy zeszyty: I 223 × 161 mm. kart nlb. 3 + 5 luźno włożonych; II 210 × 170 kart nlb. 34; III 209 × 166 kart nlb. 40. Na I okładce wewnętrznej napisano *Dziennik (poetycki)*, na II etykiecie *Winda Gdańska*, poprawiona na *Żóraw*. Słuszniej niż dziennikiem poetyckim można by je nazwać brulionami, zawierają zresztą też prozę. I na k. I ma datę: 27 VIII 08, III na k. 14^v, ostatniej zapisanej: Sopot 16 VIII 13. Można zatem grosso modo określić daty tych trzech brulionów na lata 1908 - 13.

Zeszyt I na luźnych kartach zawiera wiersze z cyklu *Z małego miasta*, drukowane w Gryfie 1912 nr. 9, dwa niedrukowane niedokończone *Jam ciebie kiedyś kochał* i *W Cejnowie* oraz plan artykułu *Obawa przed młodokaszubami*. Sam zeszyt mieści: k. 1 - 3 trzy wiersze z cyklu *Z małego miasta*, z tych jeden nieogłoszony *W nocy w knajpie* z datą 31 8. K. 3^v początek wiersza kaszubskiego *Gwiozdka*, dalej taż strona oraz 4 *Sopot* i *Rozstanie*, drukowane w nr 10 Gryfa 1912 z pewnymi, nieistotnymi zresztą zmianami. Cykl *Z małego miasta* pochodzi z Kościerzyny, te dwa wiersze zaś sięgają jeszcze wcześniejszego pobytu w Gdańsku. Jego też niewątpliwie dotyczą na 5 i 5^v *Wspomnienie; W Gdańsku*, trzywierszowe początki tematów gdańskich. 6^v - 10 idą wiersze gdańskie p. t. *Gdańsk* 6^v i *Nad Motławą* 9^v. 10^v - 11^v *Nad Motławą* prozą, niedokończona impresja. K. 12^v - 13 wiersz *Elżbieta* znowu o Żórawiu gdańskim, początek.

K. 15 *Zjazd młodokaszubski w Gdańsku 20/21 VI 1912* sześć linii wierszem kaszubskim. Od drugiego końca na k. 36 - 19 satyra niemiecka *Der Lindebaum, Eine faule Geschichte aus der Ostmark nach siebenfacher geheimer Offenbarung geschrieben von Teutsohn*, co przekreślono i zamiast tego ołówkiem *Biblische Streiflichter aus der Kaschubei.*

Z II k. 1 - 12 szereg wierszy p. t. *Winda Gdańska*. K. 3^v *Pomorzanie*, osoby i scenariusz dramatu. K. 12^v - 21 wiersze niemieckie humorystyczne. K. 22 - 34, zapisane od końca zeszytu, cyklem *Powrót z Mechlinek*, pisanym w sierpniu lub wrześniu 1913 r.

Z III k. 1 wiersze *Stara Hela* i *Na pomoście*. K. 2 - 4 *Hela czyl Rybaków*, proza w formie listu niedokończona. 5 - 9 *Karnawał w pensyonacie*, oczywiście z czasów kościerskich, wierszem tak samo k. 10 *Bajka tłustoczwartkowa*. K. 11^v

wiersz *Szewc*. K. 12 *Pobożny*, sam tytuł bez tekstu, zapewne jakaś satyra. K. 12-3 wiersz wstępny do cyklu *Z małego miasta*. K. 13 v - 14 *Zdroje Raduni*, ułamek planu. K. 14 v *W Gdyni*, wiersz. Reszta zeszytu niezapisana.

Wszystkie niemal utwory, w tych zeszytach zawarte, noszą na sobie znamię brulionu: niewykończone, w znacznej mierze niedokończone, poprawiane, pokreślone. Nie ulega wątpliwości, że autor dając je do druku, byłby udoskonalił rymy i rytmy, a przede wszystkim nadał im postać bardziej zwartą, unikając dłużyzn, wyrażających te same lub prawie te same myśli. Mimo tych niedoskonałości, mniemamy, że wiersze te zasługują na ogłoszenie. I to nie tylko ze względu na nazwisko autora. Lecz co się tyczy tematu, poezja polska w owym czasie zupełnie prawie nie zajmowała się polskim morzem, Gdańskiem i t. p. Majkowski jest tutaj jednym z pierwszych naszych marynistów. Podkreślamy też jego stosunek do morza, do Gdańska. Nie traktuje ich jako czegoś egzotycznego, lecz z każdego słowa przebija wewnętrzne umiłowanie rzeczy, do głębi i najbardziej rodzimych. Niemniej pod względem formy wiersze o Gdańsku należą do najlepszych, jakie napisał Majkowski kiedykolwiek w języku polskim. Całości szkodzi niedostateczne wykończenie, wszelako niektóre zwrotki nastrojone są na tak wysoki diapazon, na jaki nie wzniósł się nigdzie poza tym w swojej liryce.

Ogłaszając zawartość trzech zeszytów, pomijamy prozę, urywki wierszów oraz wiersze o charakterze wyraźnie niewykończonym. Z wierszy dajemy rzeczy dotyczące Gdańska i wybrzeża.

W sposobie edycji zachowujemy wiernie pisownię autora, choć i ona nosi ślady niewykończenia: jedynie tu i owdzie dodaliśmy interpunkcję, gdzie to było niezbędne dla zrozumienia.

Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby niniejsza publikacja zachęciła osoby, posiadające inedita Majkowskiego, do ich ogłoszenia.

GDAŃSK

I

Przecz się dźwigacie ze mgieł wspomnienia
Szczerbate mury i wieże,
Gdzie w tajemniczej nocy sklepienia
Śpią dawni kupcy-rycerze!

Gdzie każda wieża i każda brama
I każda murów ruina
Dostojnym głosem, jak Klio sama,
Dni dawnych chwałę wspomina.

Gdzie nad szczytami z ratusza wieży
Nasz Zygmunt króluje w chwale,
I nim godzina w wieczność ubieży,
Grzmią w niebo dzwony w chorale?

O ja was znałem ze snu mej duszy
Jak obraz wielki, wspaniały,
Nim baśń mi o was burzono w duszy
I oczy moje widziały —

W minionych wiekach, gdy jeszcze nasze
Proporce z Gryfem tu tkwiły.
Zakute zbroi w żelaznej blasze
Ostrogi moje dzwoniły.

Wy mi znajome mury i gmachy
Czarem wspomnienia owiane
I wież strzelistych zielone blachy,
Znane choć niewidziane.

Jako dziecińtwa krasne obrazy
Przez męskie lata zaćmione,
Tak ja was widzę po pierwsze razy
Obce a jednak znajome.

Płyń, o Radunio, wszystko minęło:
Jak dawniej wieńczy twa fala
Miasto, gdzie plemię nasze zginęło,
Jak zjawa co świeci zdala.

Może na grzbiecie ty kiedyś zniesiesz
Mścicieli krzywdy dziejowej,
I stary brylant na nowo wpleciesz
W dyadem polskiej królowej.

Dzisiejsza chwila w smutek odziana
I smutne chwile nam wróży
I z sercem kraju nić rozerwana
Przez łańcuch obcych obroży.

Minęły dawne surmy wojenne,
Huk armat, jęki i trwoga,
Lecz jako dawnie(j) w niebo promienne
Hymn z wieży idzie do Boga.

Wstań więc na chwile fatą morganą
W tęczowych blaskach, o grodzie,
Z tarczą dwu krzyżów koronowaną
Na ziemi władny i wodzie...

II

Gdańsku, królowo pomorskiej ziemi,
Kaszubów grobie i chwało,
Gdzie czar miłości mi tęczowemi
Kolory czucie owiało.

Nigdy twe Orły i Gryfy Dumne
Taką mi pieśnią nie grały,
Nigdy twych wieży organy tłumnie
Takim hejnałem nie brzmiały,

Jako w dni one, gdy nad Motławą
Gdańszczanki białą dłoń w dłoni,
Tyś tajemniczo cudowną zjawą
Z jej oczu błysła mi toni.

A kiedy dzisiaj Wysoką Bramą
W twe mury, Gdańsku, zawitam,
Ukryty Windy mroczystą jamą
Stawam i serce me pytam.

I każdym razem jak tajemnica,
Gdańszczanko, stajesz, jak mara,
A cudne twoje oczy i lica,
Motława pieśń śpiewa szara.

Już mi nie będzie statku i miru,
Nim pieśni tej nie zawtórzę,
A wieść o twoich oczach szafiru
Nie pójdzie z falą na morze.

Płyń więc, Motława, pomorski piewca
Twym baśniom lutnią zagędzi,
A masztów twoich skrzydlate drzewca
Oddarzą(?) skrzydłom łabędzi.

STARA HELA

Pod różowym wrzosem
Ty, o Helo, śpisz
Sennych sosen głosem
O swej chwale śnisz.

Jako fala z morza
Przepłynęłaś już.
U stóp twego łoża
Schnie krzak dzikich róż.

Wieść o twoich synach
Szła w nieznany szlak.
A na twych ruinach
Siadł wędrowny ptak.

Twą przeszłość wspaniałą
Pieśń poniesie w dal,
Ty pod wydmą białą
Spoczniesz na dnie fal.

NA POMOŚCIE

Na pomości[e] ludzie chodzą
We wieczornym brzasku,
Na wietrzyku twarze chłodzą;
Morze lśni od blasku.

A za borem niedaleko
Mruga światło z wieży
I ostatnia fala lekko
Szumiąc na ląd bieży.

Gdzieś we zmroku tępym stukiem
Biją w burtę wiosła
I urwana z lekkim mrukiem
Nutę fala zniosła.

Coraz ciszej, coraz ciemniej
Noc na morzu siada —
Jak dalekiej zwiastun ziemi
Świeci „bliza" blada.

Ni kochania na tym brzegu
Ni polskiego słowa, —
Białe piaski barwy śniegu.
Helo, bywaj zdrowa!

POWRÓT Z MECHLINEK

I

Ty bałtycki biały brzegu
Bywaj zdrowy, ty kochany,
Chatek rzędem obsadzony —
Już gotowa łódź do biegu —

Chato niska, chato mała
Taka mała, a gościnna
I gosposia twoja zwinna,
I harmonia co nam grała.

Ty rybacka; powitanie
Z białym piaskiem na podłodze
Coś witała nas przy drodze
Z kropielnicą podle ściany.

Ty tak mała niepozorna
Pod tą strzechą z słomy szarą,
Ale z taką patrzysz wiarą,
Na przychodnia jak przezorna

Matka, która woła dzieci
Do obiadu, na spoczynek,
Kiedy ogień przez kominek
Dudni a dym górą leci.

Bądź mi ty błogosławiona
Tak uboga, a bogata
Taką jaka tyś jest chata,
Żadna nie wydała strona.

Wichrze chyży, wartki, który
W tabun zbijasz białe grzywy
Fal i bijesz w burty siwy,
Gdzieżeś usnął — taki skory?

Błyszczą Blize od Jastarni
Do Oksywskich urwisk szadych.
Nasze łodzie jak poczwarni
Smocy leżą w blaskach bladych.

Księżyc z pełną błyszczy twarzą
Długim słupem stojąc [w] morzu
Na tych wielkich wód bezdrożu
Drobnych gwiazd się oczy żarzą.

Wszystkie wichry się zawzięły.
Darmo żagle proszą tchu,
Jak od leniwego snu
Legły wiatry i zasnęły.

Przewoźniku, ty szczęśliwy,
Który łódź swą pędzisz wiosłem
Gdyby twoim tym rzemiosłem
Można pędzić szkut leniwy!

II

I nareszcie Matka Boska
Ze Swarzewskiej Kępy nasza,
Wietrzyk lekki śle jak troska
Która żagiel już unasza.

Jak ogromne winogrona
Kolorowe w Gwiazdkę dzieciom
Zawieszone koło drzewka
Lampiony barwne świecą.

I powoli, jak w błękicie
Zawieszone szkuty płyną
Górą gwiazdy, dołem gwiazdy
Dwa księżyce k'sobie płoną.

Aż lęk bierze
Serce w swe lodowe dłonie,
Kiedy spojrzysz gwiazdom w oczy
Kiedy spojrzysz w głębokie tonie.

I płyniemy w tym błękicie
Jak Charona cichy statek,
Który od płaczących matek
Wiezie dzieci po Kocycie

Ku zaziemskiej tajemnicy.
Błyszczą z morza z lewej strony
Światła latarń, —
Wież jak olbrzymi strażnicy...

Gdyby taka jazda cicha
Trwała dobę całą, może
Smutek zakuł by obroże
Koło duszy — — — —

Sternik wejrzał zadumany
W żagle smętnie obwieszone
I ku brzegu utęsknione...
— — — — — — — —

Potem usiadł na krawędzi
I harmonię dobył śpiewną
I pieśń tęskną i powiewną
Jak szum lekki piór łabędzi

Posłał po błękitnej fali
A my cicho słysząc stali,
I tak brzmiała nuta ona,
I tak była dostrojona

Do tej nocy dziwo-czaru
Do tej ciszy co nas miała
Jakby syrena śpiewała
Wśród błękitnych wód bezmiaru.

III

Ty bałtycka nocy Losu
Wśród żarzących gwiazd przeżyta,
Twe wspomnienie dziś zakwita
Przed mą duszą kwiat Lotosu!

Jam w twe oczy spojrzał, miła,
Tak głębokie, jak to morze,
Jak błękity na przestworze
I gwiazd tyle, moc z nich biła.

I dłoń twoja mi spoczęła
Na ramieniu ciepła, biała
I moc taką dziwną miała
I mnie do nóg twoich zgięła.

I ukląkłem na pokładzie,
Im przed tobą korzył skronie,
A twe białe chłodne dłonie
Dobroć twoja na mnie kładzie.

Wstawszy czułem się kapłanem
W tej świątyni, gdzie ołtarze
Sercem naszym świętej parze
Płoną przed Odwiecznym Panem.

IV

Siadaj, dziewczę, w dziobie szkuta
Na tym pęku żagli białych,
Ja u stóp twych, jako majtek
Legnę i ci się spowiadam:

W takiej nocy ono było,
Kiedym jechał do Jastarni,
Śladem światło z Rozew biło,
Z Helu witał błysk Latarni.

Tylko nocny wiatr się z Kępy
Wcześnie zerwać z snu
I nasz żagiel stary w strzępy
Groził siłą tchu.

A my mknęli onej nocy
Jak ogromny ptak po fali.
Dwaj rybacy pilnowali
Żagli, trzeci ster miał w mocy.

Jam przy maszcie patrzał w burzę
Wesół z takiej dzikiej jazdy.
Dumny spoglądałem w gwiazdy
I w ryczące fale w chórze.

Patrzał z nieba hen wysoko
Znak woźnicy ku nam w dole
Szkut, jak wierne nam sokolę
Piersią prując fal szeroką.

K' białym piaskom helskim mierzył
I tak biegał pewny żywy,
Roztrącając fali grzywy,
Jakby w swoją siłę wierzył.

Już za nami Puck w zasłonie
Roztapiał się nocnym mrokiem;
Jak daleko sięgniesz okiem,
Tylko fale rozburzone.

I tak wszystkie przed się gnały
Szeregami grzywiastemi,
Jakby wielki rozkaz miały
Rozbić krawędź twardej ziemi.

V

Między Puckiem i Jastarną
Jest pod wodą miałka ława,
Smutna jej u Helan sława;
Śmierć tam grozi ręką czarną.

Miałki bat tam beze trwogi
Płynie górą ku mierzeji
Z żaglem małem wiotkiej rei.
Lecz dla szkuta nie ma drogi.

Jeśli fale śpią i sprzyja
Morze gładko patrząc w nieba.
Rafa widna jak potrzeba,
Sternik widzi i omija.

Ale kiedy chorał bije
Dzikich fali po zatoce,
W widne tylko rybak noce
Ku nadbrzeżnej chacie szyje.

Tam mu w oknie wid ustawi
Żona, który dlań jest gwiazdą,
I omija rafę jazdą
I zbawienne światło sławi.

Ale biada [gdy] od Gdańska
Tumanami ściągnie mgła
Nakształt śmiertelnego gzła . . .

Ni to gwiazda ni wid chaty
Szkuta rządzi bieg skrzydlaty,
A gdy rafa dnia[1] dosięże.
Szkut zazgrzyta i ugrzęzie.

Fale jako wilków stado
Padną na swoją zdobycz chciwe
I rozszarpią wszystko żywe
I ze złości szumiąc blado.

Wtenczas rybak doświadczony
Rzuca w paszcze swoje mienie
I balastu z dnia[1] kamienie,
By ominąć śmierci szpony.

Onej nocy, dziewcze moje,
Kiedym wichrem gnał od Helu,
Już nas witał wid u celu
Z oświeconych okien dwoje,

Co w jastarskiej błysły chacie,
Kiedy fale opadały,
A nam ginął, kiedy wstały
Otoczywszy nas na bacie.

Ledwo tedy po raz wtóry
Zabłysnęło światło chaty,
Uciekł wicher z wód skrzydlaty
Spocząć na Swarzewskie góry —

Jakby nie dopiąwszy celu
Utopienia szkuta w morzu
Szedł ze wstydem w morskiem wzgórzu
Spoglądać ku brzegom Helu

Jeno fale z[e] zdobytem
Dawnym pędem szły szalone
Niosąc nas na tamtą stronę
Z hukiem, z wyciem, z szumem, z zgrzytem.

Ledwo ucichł wicher z nórtu,
A tu z wschodu słońca wali
Się kłębami mgła po fali
Idąc od Nowego Portu.

I tak szybko morzem sunie
Jak duch śmierci i tak nagle
Nim[?][2] usiadła w nasze żagle
I rozlała się po dunie.

Najprzód przezroczyste puchy
Zcieśnią się do czarnej ściany,
W jedno zbiją się tumany
Jak piekielne czarne duchy.

Już zmazała się granica
Gdzie się niebo z morzem ścina,
Linią prostej przypomina
Czarna otchłań straszne lica.

[1] Zamiast „dna". [2] Wyraz nieczytelny.

Jam przy maszcie stał i prawie
Rybak bierze drąg, obraca
W dół go i grunt morza maca,
By nie utknął w zdradnej rawie.

Załóż refy w rzut, mój bracie,
Odzywa się sternik z trwogą,
Gwiazdo morza, wiedź nas drogą
Ku domu, bo po naszym bacie.

Bo to panna ta mgła biała
Co nas wzięła w otulenia,
To topielców smutne cienia,
Z których morze zjadło ciała.

Na nieznane w świat wybrzeże,
W obcej mowy cudze lądy
Wyrzuciły morskie prądy
Sępom morskim na wieczerze.

Ale duchy ich z westchnieniem
Błądzą morzem — grożą żywym,
By swym hufcom nieszczęśliwym
Przysporzyły cień do cienia — —

Już jakoby bez swej duszy
Fala niesie szkut...

W GDYNI

Na tym białym brzegu
Daj mi, Boże, żyć,
Daj mi twej potęgi
Dźwięczną struną być.

Twego morza chwałę,
Trąby jego burz,
I te grzywy białe
Nad falami wzdłuż, —

I modrego nieba
Lazurowy dzwon:
Wszystko mi potrzeba
Zakląć w lutni ton.

A gdy przebrzmi nuta
Nad grzmotami fal,
Duch na maszcie szkuta
Niech popłynie w dal.

Niechaj w nucie swojej
Żeglarzowi drży
I w ryczącej boji
Mu na trwogę grzmi.

Sopot, 16 VIII 13.

Aleksander Szedlin Czarliński

LATAJĄCY HOLENDER

NOWELA ODZNACZONA TRZECIĄ NAGRODĄ NA KONKURSIE „TEKI POMORSKIEJ"

Markowc popatrzył żałosnym wzrokiem na wiszące wzdłuż masztu żagle i splunął, nie wyjmując fajki z ust. To było u niego wskaźnikiem najwyższej irytacji. Gdyby był mniej zły, przeklinałby. A w „fachu" tym był mistrzem. Był niejako chodzącą encyklopedią „mocnych wyrażeń" marynarskich, pozbieranych i skrzętnie rejestrowanych we wszystkich portach globu ziemskiego. Ale on milczał i wypluwał tylko z podziwu godną maestrią swą niemą wściekłość.

Nic dziwnego, że Markowc był zły. Wszak absolutna „glada" (bezwietrzna cisza morska) nie pozwalała mu wykonać najprostszego manewru żeglarskiego i najelementarniejszych obowiązków wobec mnie, swego gościa. Przyjechałem do niego, aby znowu powłóczyć się z nim „perżna" (po kaszubsku — trochę) po morzu jego starą, miłą szkutą. Zamiast żwiru, cegieł lub innej drobnicy, ładunek jego statku stanowił tym razem pasażer w postaci mojej osoby.

Przy pięknej bryzie lądowej wyruszyliśmy o czwartej rano z Rewy w kierunku Mechelinek, aby tam wziąć na pokład jego sternika i bosmana w jednej osobie, do którego wysłał już poprzedniego wieczora pieszego posłańca, zawiadamiając go o naszej wyprawie. Nie pamiętam, jak ten stary wilk morski z Mechelinek się nazywa. Wszyscy nazywają go mianem „Bremer Lloyd", więc i ja przywykłem od wielu lat nazywać go tak.

Był jeszcze drugi powód irytacji Markowca. Odwiedzając go w Rewie jako starego przyjaciela i kompana niejednej włóczęgi morskiej, przywiozłem mu sensacyjną wiadomość z Gdyni, że ubiegłej nocy znikł w zagadkowy sposób z gdyńskiego portu rybackiego kuter Kąkoła. Był to najładniejszy kuter motorowy do połowów dalekomorskich w całej flotylli naszego wybrzeża.

Dochodzenia wykazały, że widziano trzech osobników, przewożących małą łódką różne paczki i skrzynki na kuter Kąkola. Zapytani oświadczyli, że właściciel kutra wybiera się na połów śledzi, i że zaangażował ich na tę wyprawę.

Nagle kuter znikł. Został porwany. Niebywały w naszych dziejach akt korsarstwa. Z portu, z pośród dziesiątek kutrów i statków uprowadzono okręt rybacki!

Kąkol szalał, bo kuter stanowił cały jego majątek. Sprawa stała się sensacją, rozniesioną pantoflową pocztą wzdłuż wybrzeża od Helu do Pucka i Orłowa.

Policja portowa rozpoczęła dochodzenia, zelektryzowana wypadkiem, z jakim dotychczas nie miała jeszcze do czynienia. To też w mig stwierdzono, że piratami mogli być tylko trzej bezrobotni, którzy odważyli się na czyn szalony, chcąc ulżyć swej doli. Ale to byli ludzie z kraju, szczury lądowe. Tylko jeden z nich jeździł na parowcach jako palacz. Prawdopodobnie — tak sądziła policja gdyńska — złodzieje-piraci zamierzali ukryć gdzieś kuter w zatoce puckiej i zażądać okupu, wzorem gangsterów chicagowskich.

— To jest głupstwo — zawyrokował Markowc. — Jeżeli to są nowicjusze, to nie mogą wjechać do zatoki puckiej przez „Depkę" (pas mielizny, ciągnący się od cypla Rewy do Kuźnicy na półwyspie Helskim). Musieliby niechybnie osiąść na mieliźnie i holowniki i motorówki Kapitanatu Portu byłyby ich już przyłapały. Oni wzięli na pewno kierunek na wielkie morze, aby dotrzeć do Piławy, Szczecina albo nawet do Szwecji. To jest więcej podobne do takich żółtodziobów.

Zgodziłem się chętnie na taki punkt widzenia, tym więcej że pełniąc aż do tej chwili funkcję sternika, przemarzłem do szpiku kości i nie byłem wcale zdolny do dyskusji.

W tej chwili nadjechała łódź od strony Mechelinek. „Bremer Lloyd" wdrapał się na pokład. Po krótkim przywitaniu ze mną znikł w luce na przednim pokładzie, aby ulokować tam swój tobołek. Był snać nie w lepszym humorze od naszego kapitana. Wróciwszy, odebrał mi ster, mrucząc coś pod nosem o niewczesnych wyprawach, o nieszczęsnych snach babskich itp.

— Starcze krakanie — pomyślałem, tłumacząc sobie jego zły humor przer-

waną nocą. Nie myślałem o tym, że stary a doświadczony marynarz nie tylko z nieba odczytuje pogodę, lecz w kościach czuje czekające go przygody.

Dzwoniąc zębami zszedłem do kajuty Markowca, który tymczasem na dziobie wylewał złość na swojego syna, pełniącego na szkucie funkcję chłopca okrętowego, starszego majtka i żagelmistrza, przeprowadzając z nim nieubłaganą musztrę przy zwijaniu i hissowaniu żagli.

Byłem głodny. Ukrajałem sobie pajdę chleba i rzuciłem się z wilczym apetytem na zapasy żywności, zanurzając zęby na przemian w przywiezionej z sobą kiełbasie krakowskiej, to w ociekającym tranem węgorzu.

Po chwili zeszedł do mnie Markowc i wyciągnął butelczynkę rumu. Nie mówiąc ze sobą ani słowa, napełnialiśmy kieliszki, raz on raz ja, raz ja raz on. Zrobiło się gorąco. Miniaturowy piecyk roztaczał rozkoszne ciepło, działając usypiająco. Mój wzrok padł mimowoli na skrzynkową koję nad ławą, zasłaną świeżą dla mnie, kraciatą pościelą. Uległem pokusie. Zdjąłem futro i wskoczyłem na twarde łoże, które wydawało mi się w tej chwili rozkoszniejszym od puchów i sprężynowych materaców.

Zasypiając, zauważyłem jeszcze, że Markowc poszedł za moim przykładem i rozciągnął się w przeciwległej koi. Ani on ani ja nie zwróciliśmy uwagi na dudniące po pokładzie kroki, jakieś wołania, jakiś szum. Poczułem lekkie kołysanie i drgnięcie szkuty, która zdawała się nagle posuwać wśród bluzgającej fali. Zasnąłem . . .

— Panie redaktorze, wstawać! — usłyszałem nagle głos Markowca obok ucha. — Idziemy na ląd!

— Na jaki ląd? — wybełkotałem, na pół jeszcze we śnie pogrążony. — Przecież jest „glada". Czy wróciliśmy do Rewy?

— Jesteśmy w Helu.

Te słowa obudziły mnie. Wyskoczyłem z koi i narzuciłem futro. Wyszedłszy na pokład skonstatowałem, że znajdowaliśmy się istotnie w porcie helskim. Cud — pomyślałem. Zanim jednak wyszedłem za Markowcem na molo, podszedłem do naszego sternika.

— Przyjdźcie z nami, „Bremer Lloyd" — prosiłem. — Trzeba oblać nasze spotkanie po tylu latach.

— Jak wrócimy szczęśliwie do domu — mruknął „Bremer Lloyd", mierząc mnie nieprzyjaznym wzrokiem i wracając do swego steru.

Jak nie, to nie — pomyślałem i podążyłem za Markowcem.

Poszliśmy, jak zwykle, do „Lwiej Jamy". Była to jeszcze owa stara, przemiła knajpa rybacka przed swoją niesamowitą metamorfozą na dancing z jazzem i wyśrubowanym a la Biarritz cennikiem. Tutaj dopiero dowiedziałem się, w jaki sposób znaleźliśmy się w porcie helskim. Kiedy staliśmy na wysokości Mechelinek, a kapitan i jego gość ułożyli się do snu, zbliżył się do nas holownik „Ursus", który szukał zaginionego kutra w wklęsłościach lądu między Oksywią, Obłużem

a osławioną „Depką“. Nie znalazłszy tam tropu piratów, wziął szkutę Markowca na linę i przyholował ją do Helu.

W „Lwiej Jamie“ spotkaliśmy też poszkodowanego Kąkola. Trzymał on tu wartę. Co chwilę wybiegał na latarnię morską i lustrował morze przez najostrzejsze szkła, po czym wracał znowu zdesperowany do knajpy, aby rozgrzać się.

Markowc nie byłby Kaszubą, gdyby przy tej sposobności nie ubił interesu z właścicielem „Lwiej Jamy“ na wędzone ryby i kilka ładunków budulca na przewóz morski (wówczas nie było jeszcze kolei na półwyspie), i nie byłby Polakiem, gdyby wytargowanej zaliczki nie był inwestował w oblaniu interesu. Czysta i rum rozkołysały więc rychło fale namiętnej dyskusji dokoła wypadku, który stanowił przecież narodziny naszej własnej kryminalistyki morskiej. To też dowcipny zawsze Markowc pił raz po raz zdrowie Kąkola jako ojca tej zaniedbanej przez przestępców dziedziny.

— A ty się wybrałeś na twojej starej fregacie, aby łapać złodziei, co —? odciął się poszkodowany, który nieco odzyskał humor, gdy mu obecny na libacji strażnik celny zaręczył na honor zielonego munduru, że w najgorszym razie rząd, otaczający rybaków specjalnym afektem, wynagrodzi mu stratę.

Nic tak nie wyprowadzało Markowca z równowagi, jak kpiny z jego szkuty, która była zapewne najstarszym pudłem pod żaglami na obu półkulach (w międzyczasie sprawił jej sztorm zasłużony odpoczynek na dnie morza).

— A kto odkrył Amerykę, żeglarz czy motorniczy? — rzekł gniewnie. — Ja ci powiadam, że na mojej starej fregacie przydybię rabusiów.

Dokoła rozgległ się głośny śmiech.

— Ty? — parsknął Kąkol. — Gdyby nie holownik „Ursus“, to leżałbyś jeszcze w „gladzie“ koło Mechelinek.

— Oho — wtrącił pewien helanin. — Markowc to wielki żeglarz. Jak na Matkę Boską Swarzewską postawi grotżagiel i top na krzyż, to zarzuci kotwicę przed samym wielkim ołtarzem.

Nowa salwa śmiechu. Markowc zerwał się na równe nogi, czerwony jak burak.

— Siadaj — mitygował go helanin. — Złodziei może przyłapać tylko staemer (parowiec), bo jest niezależny od wiatru i może przeszukać wszystkie kąty małego morza.

— Oni na pewno nie są już w zatoce — oponował Markowc.

— Na pewno jeszcze są, bo od wczesnego ranka patrolują między Helem a Gdańskiem i Schiewenhorst motorówki tak gęsto, że śledź by się nie przekradł.

— A ja powiadam, że oni wyjechali na wielkie morze, ale nie mogą być jeszcze daleko. Obawiając się pościgu, który musiałby ich dogonić, skręcili z wszelką pewnością na zachód i ukryli się gdzieś za szwedzką górką, aby zmylić prześladowców. Odczekają, aż pościgowe statki zawrócą do zatoki i będą się starali czmychnąć w ciemnościach nocy, kierując się światłem latarni Rozewskiej. Tym bardziej, że o 3-ciej robi się już ciemno, a we dnie też na 50 mtr. nic nie widać. Założę się o litr rumu.

Zakład stanął. Nikt bowiem nie podzielał jego zdania. Markowc wyszedł na dwór, aby zbadać kierunek wiatru. Dął lekki wietrzyk południowy.

— Dobry jest — rzekł. — Jedziemy!

— Dajcie spokój — odezwał się jakiś siwy jak gołąb helanin. — Nie dowierzam temu wiatrowi. On takim nie pozostanie. Niebo jest czarne jak atrament. Coś jest w powietrzu, co mi się nie podoba.

Ale Markowc nie zważał na te przestrogi, tym bardziej, że Kąkol rzekł na pożegnanie złośliwie:

— Puśćmy go. On złapie złodziei, bo nie miałby jutro rumu pod choinką!

Na mocno chwiejnych nogach zeszliśmy do portu.

— Markowc — zagadnąłem żeglarza po drodze. — Zapomnieliście, że jutro jest Gwiazdka. Obiecaliśmy sobie po przejażdżce urządzić piękną Wilię u was. Przywiozłem przecież drzewko w Chylonii i zabawki i smakołyki dla waszych dzieci. Postawię Kąkolowi przegraną butlę rumu i wracajmy czym prędzej do domu.

Markowc przystanął i obrzucił mnie wzrokiem pełnym pogardy:

— A gdzie honor?

— Jaki tam honor? Zakład stanął po pijanemu.

— Markowc trzeźwy dotrzymuje słowa, które daje po pijanemu! Tu nie tylko chodzi o honor Markowca, — perorował. Na Kaszubach nie znano dawniej zamków, nie znano złodziei. A Kąkolowi skradziono najświętszą rzecz rybaka — jego łódź! Musimy ich złapać!

Zrobił ryzykowny zwrot na pięcie i szedł dalej krokiem niezbyt pewnym, ale stanowczym ....

Zaledwie objechaliśmy cypel helski i minęliśmy latarnię morską, wiatr począł zmieniać kierunek. Z południa przerzucił się na zachód, a potem przesuwał się coraz bardziej na północ.

Markowc odkomenderował „Bremer Lloyda“ i swego syna do żagli, a ja objąłem ster.

— Dobry wiater — rzekł Markowc z zadowoleniem.

— Jak to dobry? Jest nam przecież wprost przeciwny, tak że musimy się posuwać zygzakiem i nie robimy chyba więcej jak pół węzła na godzinę.

— Tak, ale ja jestem starym żeglarzem i dam sobie radę z tym wiatrem. A złodzieje będą bezradni i nie mogą nam umknąć. Skręcimy teraz w stronę lądu i przeszukamy wybrzeże reflektorem.

— Ale oni mają motor i gwiżdżą na wiatr.

— Oho! Oni nie mogą puścić motoru, bo zdradziłby ich jego stuk. Muszą podnieść żagle.

Uśmiechając się tryumfująco, poszedł do likliny, każąc zmienić sternikowi for dolny marszżagiel i posyłając syna na relling. Równocześnie przestawiłem ster. Szkuta zakołysała się lekko, pochyliła się na lewy bok i zwróciła dziób w kierunku latarni jastarnieńskiej. Po lewej ręce mieliśmy teraz helską latarnię mor-

ską, a daleko po prawej migotało światło latarni rozewskiej. Siła wiatru zdawała się teraz słabnąć, a ciemności stały się coraz bardziej nieprzeniknione.

— Zejdźmy perżna do kajuty na łyk rumu na rozgrzewkę — rzekł do mnie Markowc. — Knep (chłopak) uważa przy dzióbie, a „Bremer Lloyd“ obejmie ster. Za chwilę puścimy w ruch reflektor.

Zaledwie rozgościliśmy się w kajucie, usłyszeliśmy głośne wołanie sternika. W mniemaniu, że zoczył on poszukiwany kuter, wybiegliśmy na pokład.

— Co się stało?

W odpowiedzi „Bremer Lloyd“ wskazał ręką na prawo.

— Nie wiem, czym na raz oślepł, ale nie widzę latarni rozewskiej.

Patrzyliśmy przez chwilę w kierunku Rozewia, nie mówiąc ani słowa. Latarni nie było.

— Jastarnieńskiej także już nie widać, i helskiej też nie! — wykrzyknąłem przerażony.

Markowc zaklął szpetnie, wyrwał ster z ręki starego i ryknął kilka rozkazów. Sternik skoczył jak kozica do żagli, a młody Markowc był już na rellingu. Zrozumiałem. Otoczyła nas mgła. Każdej chwili mogliśmy znaleźć się na mieliźnie.

Rozmawiając nie raz z lotnikami o ich przygodach powietrznych, nie mogłem nigdy pojąć, że oprócz burz i wichrów istnieje żywioł, napawający ich daleko większym lękiem. Tego wieczora dopiero doświadczyłem, że tak dla nich jak i dla marynarzy istnieje niebezpieczeństwo zgoła groźniejsze — mgła.

Nie była jeszcze przy nas. Ale czuliśmy nerwami jej nieuchronne pełzanie złowrogie, podobne do bezszelestnych kroków gotującego się do skoku, niewidzialnego w dżungli tygrysa. Zwolna przysunęła się ku nam zwarta, sina ściana i pochłonęła nas, jak gdyby zwaliła się na morze góra waty. Kto jeszcze nie znajdował się na wodzie we mgle, temu trudno wyobrazić sobie okropne wrażenia, jakim ulega marynarz. Nie widać nic. Żagle giną gdzieś w tej mlecznej masie. Cisza złowroga panuje dokoła. Wszyscy mówią szeptem, wytężając słuch i wzrok na wszystkie strony.

Od dziobu słychać w regularnych odstępach monotonny ryk rogu, w który dmie całą siłą płuc młody Markowc. Stary szykuje coś gorączkowo koło reflektora. Czekamy na światło.

Wtem zajaśniała tarcza reflektora i rzuciła snop promieni przed siebie. Ale światło uderza bezsilnie o mleczną tarczę, nie mogąc jej przeniknąć.

Tak mijają długie godziny.....

Nagle, wprost na kursie słychać jakiś stłumiony szum. Z mglistej masy wyłania się coś niewyraźnego, ogromnego. Rysują się upiorne kontury żagli i kadłuba, podobne do szarej ruiny zaklętego zamczyska. Światło reflektora otacza je cmentarną aureolą.

Markowc skoczył do steru i zerwał go na backbord. W tej chwili nastąpiło zderzenie. Kuter otarł się o burtę naszej szkuty, przepłynął obok niej i zanurzył się z powrotem w mgle.

— To byli oni! — szepnął Markowc, przestawiając reflektor i zawracając szkutę. — Nam się nic nie stało, ale i kuter nie odniósł awarii.

Podniósł tubę do ust i wołał, ale nikt nie odpowiadał. Płynęliśmy teraz w kierunku, w którym zniknął kuter.

— Przegrałem rum, — warknął Markowc. — A może jednak nie! Ich kurs idzie na Gdańsk.

— Jakże możecie to stwierdzić bez busoli? — zapytałem, całkowicie zdezorientowany w gęstej mgle.

— Ja mam busolę w końcach palców, — zaśmiał się złowrogo Markowc, i wydał niezrozumiały dla mnie rozkaz hissowania wszystkich żagli.

„Bremer Lloyd" i syn Markowca przysiedli się do nas obok steru. Stary poruszał wargami, jakby się modlił. Od czasu do czasu tylko chwytał słuch urwane strzępy jego pomruku, że „licho nas wodzi", że „opętały nas złe duchy" itp.

Dokoła była duszna mimo przejmującego zimna cisza.

Nagle zamajaczyły przed nami na nowo rozpływające się w świetle reflektora kontury tajemniczego żaglowca. Markowc wykonał sterem manewr, który przyprawił mnie o dreszcz zgrozy.

Cóż ten szaleniec zamierza? Czyżby chciał „rammować" tamten statek? Wszak groziło to pewną zagładą jemu i nam. Rzeczywiście! .... Z zawrotną szybkością zbliża się szkuta pod kątem prostym do kutra .... już dotyka dziobem tylnej nadbudowy sterniczej obcego statku .... słychać słaby trzask łamanego drzewa ....

Markowc wypuszcza ster z rąk, zrywa z ramion swego syna derę, w którą był otulony, i biegnie z nią jak oszalały naprzód, znikając w mgle.

Wytrzeszczamy za nim oczy, oniemieni z przerażenia.

Przejmujący krzyk przeszywa białą ciszę i gubi się w martwocie tej strasznej nocy.

Wszystkich nas trzech mrozi ta sama myśl: Markowc wyleciał za burtę! Markowc, jak większość marynarzy, nie umie pływać!

Wtem zrywa się „Bremer Lloyd" na równe nogi. Oczy, błyszczące obłędnym strachem, wyłażą mu z orbit. Ręką drżącą jak w febrze wskazuje na oddalający się z ciasnego widnokręgu reflektora kuter.

— Latający holender .... go .... porwał ..... — wybełkotał.

Spojrzałem na kuter i struchlałem.

Na burcie stała olbrzymia postać legendarnego upiora w rozwianym na wietrze czarnym płaszczu, bez głowy, z wysokim, stożkowatym hełmem nasadzonym wprost na ramiona. Zanim zdołałem przetrzeć oczy, nie dowierzając własnemu wzrokowi, widmo utonęło wraz z konturami tajemniczego statku w mlecznej ścianie mgły.

Huk zatrzaśniętej luki, wiodącej do kajuty, wyrwał mnie z odrętwienia. Moich dwuch towarzyszy nie było już przy mnie.

Bohaterska ucieczka starego z Mechelinek i wyrostka wróciła mi nieco równowagi. Pomyślałem przede wszystkim o Markowcu. Biegłem wzdłuż burt, wytężając słuch. Wrzuciłem do morza obydwa pierścienie ratunkowe i przymocowane do lin worki korkowe.

Począłem wołać: Markowc! .... Maaarkooowc! ....

Ochrypłem tak, że w końcu głosu wydobyć nie mogłem. Wtem usłyszałem całkiem blisko warkot motoru. Nie zdawałem sobie sprawy, jak długo zagłuszało go dotychczas moje wołanie. Równocześnie zrobiłem inne spostrzeżenie, które wprawiło mnie w zdumienie. Wzmógł się szum morza tak, jak gdyby nasza poczciwa szkuta rozpruwała fale z szybkością kilkudziesięciu węzłów.

Cóż to? Światła .... Dużo świateł! To może być tylko Hel. I mgła poczyna się szybko unosić. Widać już bez trudu połyskujące fałdy fal, wyginających w tańcu grzbiety z białymi grzywami piany.

— „Bremer Lloyd“, do steru! Knep, refuj żagle! Jesteśmy w Helu! — zawołałem.

Tej komendy nie trzeba było powtarzać. Stary i wyrostek wyskoczyli z ukrycia w chwili, gdy mijaliśmy latarnie falochronów u wjazdu do portu.

Robi się coraz widniej. Kilkadziesiąt kroków przed nami przykłada duży kuter motorowy do mola. Słyszę zgiełk podnieconych głosów. Widzę mundury policyjne. Wyciągają z luki trzech nieboraków, których zakuwają w kajdanki. Prowadzą ich w stronę lądu.

Z ciżby na molu odłącza się jakaś postać i zbliża się. Czy dobrze widzę?... Markowc! Tak — to on. Szczerzy zęby, trzymające nieodzowną fajeczkę....

Co się właściwie stało, dowiedzieliśmy się dopiero w „Lwiej Jamie“ przy przegranej przez Kąkola butelce rumu, którą ten, pełen radości z odzyskania porwanego kutra [1], własnoręcznie odkorkował.

— Ten „latający Holender“ — .... to ja, — opowiadał Markowc.

— Gdy szkuta otarła się o tył kutra, wziąłem do ręki kotwicę na stalowej linie, przytwierdzonej do naszej burty, i przeskoczyłem pod osłoną mgły na pokład kąkolowej motorówki, do której przycumowałem szkutę. Potem włożyłem tubę na głowę, narzuciłem derkę i w tym przebraniu stanąłem na tylnej burcie, wymachując derką niby nietoperz. Zaledwie zobaczyli mnie uciekinierzy, ryknęli ze strachu i wskoczyli jeden przez drugiego do kajuty, zamykając za sobą szczelnie lukę. Wówczas zrefowałem żagle na kutrze i puściłem w ruch motor, holując za sobą szkutę i biorąc kurs na Hel. Tak wygrałem tę butlę rumu, która oby nie była ostatnią.... bo to przecież dziś Wilia!

[1] Zdarzenie autentyczne. Porywaczami kutra byli trzej bezrobotni z Gdyni: Edward Palac, Michał Kaczorowski i Paweł Hoffman.



Piotr Triebler *Rzeźbiarz,* gips



Marian Turwid *Św. Jerzy*

(W głównym ołtarzu Kościoła Garnizonowego w Bydgoszczy)

Z RUCHU KULTURALNEGO:

W TORUNIU

Wystawa miast pomorskich. Jedną z wielu atrakcyj czerwcowych uroczystości toruńskich była „wystawa miast pomorskich", którą przygotowali graficy: Stefania Leśniewska, Józef Kozłowski, Andrzej Milwicz oraz artysta - fotograf Bolesław Zaremba. Eksponaty, nadesłane przez dziesięć miast W. Pomorza: Aleksandrów. Chełmno, Chojnice, Fordon, Gdynię, Inowrocław, Kruszwicę, Świecie, Toruń i Włocławek, umieszczono w gustownie udekorowanych oknach wystawowych przy ul. Szerokiej. Fotografie i rysunki zabytków, reprodukcje najważniejszych dokumentów historycznych, poglądowe wykresy i cyfry, publikacje i t. p. dały w dobrze obmyślanej syntezie obraz poszczególnych miast w ich pięknie, rozwoju historycznym i stanie obecnym. Wystawa, zbyt mało reklamowana, była ciekawa i pożyteczna. Trwała od 18-25 czerwca. *St. P.*

Z Towarzystwa Naukowego. Syn Ziemi Pomorskiej, prof. dr Bronisław Dembiński (ur. 14. 8. 1858 w Małej Komorzy w Borach Tucholskich), znakomity historyk i prezes Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk, w dowód uznania dla zasług, które oddał nauce polskiej, został zamianowany członkiem honorowym Tow. Naukowego w Toruniu. Uroczystość wręczenia dyplomu odbyła się na dorocznym walnym zebraniu Poznańskiego Tow. P. N. w d. 11 czerwca. Toruńskie Towarzystwo reprezentowali: ks. prał. A. Mańkowski — prezes, ks. prał. P. Czaplewski — wiceprezes, dyr. Z. Mocarski — sekretarz i mgr A. Bukowski — skarbnik. Uroczystość, dzięki serdecznej atmosferze, zamieniła się w podniosłe święto zbratania nauki pomorskiej i wielkopolskiej, co podkreślił ks. prezes Mańkowski w przemówieniu, wygłoszonym przy wręczeniu dyplomu: „...Stojąc tu przed Wami, przezacni Panowie, na tym Walnym Zebraniu Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, my delegacja Tow. Naukowego w Toruniu, reprezentująca trzy pokolenia historyków pomorskich, nie możemy nie przytoczyć reminiscencyj historycznych, jakie nam się cisną do serc naszych i na usta nasze. Byliście nam i jesteście dotąd dobrymi sąsiadami, doradcami i opiekunami, my staraliśmy się odwdzięczyć się Wam współdziałaniem kulturalnym. Łączą nas oprócz węzłów krwi i wspólne przeżycia, wspólne tradycje. Gdyście tworzyli Swoje tyle zasłużone Tow. P. Nauk pomagali Wam Pomorzanie: dr Szulc, ks. Malinowski, hr. Alfons Sierakowski, a później czynnym, ruchliwym członkiem był Zygmunt Działowski, reprezentant Waszego T-wa na głośnym niegdyś kongresie archeologicznym kijowskim. W Waszych „Rocznikach" ogłosił ks. Kujot obszerną pracę swoją o sprawie toruńskiej, w naszych kilku Wielkopolan umieściło swoje rozprawy... Niech mi będzie wolno wspomnieć także o wielkim zaszczycie, jakiego godnym Zacni Panowie uznaliście mnie przed dwoma laty [wręczono wówczas ks. prał. M. dyplom członka hon. Tow. P. N. w Poznaniu — uw. Red.]; będzie on mi jednym z najmilszych wspomnień na całe życie. Niech ta uroczystość, jakoby rodzinna, będzie przypomnieniem dawnych serdecznych stosunków wzajemnych, dawnej pomocy obopólnej w czasach niewoli i niedoli, niech te stosunki coraz bardziej się zacieśnią i utrwalą, a symbolem tego niech będzie wręczenie czcigodnemu Panu Profesorowi i Prezesowi Dembińskiemu dyplomu"... *St. P.*

„Stanica" Zrzeszenie Regionalne Kaszubów. Przed dwoma laty grono Kaszubów toruńskich z p. E. Jonasem na czele utworzyło „Stanicę" Zrzeszenie Miłośników Kaszubszczyzny. Podobna organizacja powstała później w Gdyni. W ciągu ostatniego półrocza nastąpiło między obiema organizacjami porozumienie, na skutek którego stworzono jednolitą organizację „Stanicę" Zrzeszenie Regionalne Kaszubów z centralą w Gdyni z jednoczesnym zamiarem zorganizowania kół miejscowych w poszczególnych miastach pomorskich. Dawna toruńska „Sta-

nica", która dała podstawę obecnej ogólnopomorskiej organizacji, jest pierwszym zorganizowanym kołem miejscowym z nowoobranym zarządem, na którego czele stoi ks. prał. dr Jank.

Celem „Stanicy" Z. R. K. w/g statutu jest: „szerzenie znajomości dziejów Ziemi Kaszubskiej oraz kultu zasłużonych dla niej postaci historycznych, jak również szerzenie zrozumienia i szacunku dla przejawów duchowej i materialnej kultury kaszubskiej; inicjowanie twórczej działalności w dziedzinie literatury i sztuki kaszubskiej; pobudzanie i współpraca z powołanymi czynnikami państwowymi i społecznymi nad rozwojem życia gospodarczego, a przede wszystkim ruchu spółdzielczości oraz ludowej wytwórczości przemysłowej; otaczanie opieką zabytków kultury i przyrody, jak również popularyzacja i propaganda turystyki i letnisk na Kaszubach; szerzenie jednolitej opinii o regionaliźmie kaszubskim, którego zadaniem i główną racją bytu jest wierna i szczególnie czujna straż nad dostępem Rzeczypospolitej do morza".

„Stanica" toruńska, która w ciągu dwuletniej działalności może się poszczycić wcale pokaźnym dorobkiem. m. i. szeregiem audycyj radiowych kaszubskich, podjęła ostatnio wydanie całej powieści A. Majkowskiego „Żecé i przigodë Remusa", której druk jest już na ukończeniu. Uzyskała także od Pomorskiej Izby Rolniczej 1200 zł. dla poparcia ludowej wytwórczości artystycznej i przemysłowej na Kaszubach. *St. P.*

Pierwsza składka na Uniwersytet Pomorski w Toruniu. Z prawdziwym uznaniem trzeba powitać inicjatywę Rady Miejskiej w Starogardzie, która w tegorocznym budżecie zadeklarowała na ręce wojewody pomorskiego 1000 zł., przeznaczonych na utworzenie Uniwersytetu w Toruniu. W związku z tym wojewoda powziął decyzję otwarcia specjalnego konta, na które będą mogły wpływać dalsze ofiary. Vivant sequentes! *A. B.*

Izabella Lutosławska, znana autorka powieści m. i. „Córki" i „Małżeństwa Zazy", po siedmiu latach pobytu w Toruniu przeniosła się ostatnio do Poznania. W związku z tym wyjazdem zamieściła w nrze 34 tygodnika „Prosto z mostu" felieton p. t. „Pożegnanie z Toruniem", zawierający wiele trafnych spostrzeżeń o Toruniu i ludności pomorskiej.

Sukces toruńskiego kompozytora. Polska Rada Kultury Gminy Polskiej Związku Polaków w Gdańsku rozpisała konkurs kompozytorski, w wyniku którego nadesłano 30 utworów. Sąd konkursowy przyznał I nagrodę w sumie 250 zł. prof. Zygmuntowi Moczyńskiemu z Torunia za kantatę na chór mieszany i orkiestrę symfoniczną p. t. „Hel". Trzecią nagrodę (100 zł.) otrzymał prof. Feliks Nowowiejski za utwór na chór mieszany i orkiestrę symfoniczną p. t. „Ballada o Gdańsku". — Prof. Moczyński otrzymał również pierwszą nagrodę na rozstrzygniętym niedawno konkursie kompozytorskim w Warszawie. *St. P.*

Popisy szkół muzycznych w Toruniu. W połowie czerwca odbył się na zakończenie roku szkolnego popis uczniów konserwatorium Pom. Towarzystwa Muzycznego. Trzeba go było w tym roku rozłożyć już na dwa dni — tak wzrosła liczba występujących w porównaniu z rokiem poprzednim. Popisywali się uczniowie i uczenice (przeważnie) klas śpiewu, fortepianu, skrzypiec, wielonczeli i fletu, a poza tym chór mieszany i orkiestra. Dominował oczywiście fortepian. Klasa prof. Henryka Sztompki zaprezentowała kilka pianistek, z których nieprzeciętny talent i pewna dojrzałość artystyczna 15-letniej Reginy Smendzianki wybija się na pierwszy plan. Nie brak zresztą dobrze zapowiadających się adeptów i w innych klasach, zwłaszcza fortepianu. Jedynie klasy skrzypcowe nie wykazały się dotąd poważniejszym dorobkiem. W każdym razie dwudniowe popisy dowiodły, że toruńskie konserwatorium pod umiejętnym kierownictwem dyrektora Piotra Perkowskiego stało się poważną placówką muzyczno-pedagogiczną.

W rozmiarach skromniejszych odbył się pod koniec czerwca popis Pomorskiej Prywatnej Szkoły Muzycznej, kierowanej przez

p. Musiałkowską. Wyróżnili się tu zwłaszcza uczniowie prof. Lewandowskiego (fortepian).

A. R.

Słuchowiska Rozgłośni Pomorskiej. Nie słyszałem kilku słuchowisk ze schyłku maja i z lipca. Żal mi „Gbura i studentów“ (28/5), krotochwili Heykego w radiofonizacji A. Bukowskiego. W lipcu nie słyszałem skeczu „Człowiek ustosunkowany“, tudzież 2 słuchowisk M. Zydlera: „W służbie morza“ i „Szkoda łez“.

Autorem słuchowiska „List pożegnalny“ (27/5) jest St. Zadrożny. Słuchowisko wykonali: Ładosiówna, Cybulski, narrator-autor, ilustrator muzyczny — Makowski. Był marynarz i dziewczyna, Marek i Hanka, było nieporozumienie, słowem to, co jest „niepotrzebne“, czego można uniknąć, gdyby nie . . . miłość. Audycja typowo literacka, więc płynna, szeroka, trochę gadatliwa i sentymentalna, słuchana zapewnie z zadowoleniem i zaciekawieniem. Wykonawcy dobrzy, narrator odrobinę mniej. W ilustracji muzycznej piosenka hawajska nie na miejscu, skoro rejs miał być krótki.

„Wenus Kapitolińska“ (14/6), humoreska według Twaina, w opracowaniu Ordyńcowej, w reżyserii Tad. Markowskiego. Wykonawcy: Piekarski, Ilcewicz. Humoreska znakomitego kpiarza nie zawiodła; opracowanie było dobre, wykonanie poprawne, a jednak budziło jakieś zastrzeżenia. Po rozwadze nasuwa się przypuszczenie, że gra aktorska, dobra na scenie, nie nadaje się do mikrofonu. Szorstkości ulegają na scenie zatarciu przez wrażenia wzrokowe; mikrofon je uwydatnia. — „Przypływ“ (16/6) obrazek słuchowiskowy w opracowaniu L. Sobocińskiego według noweli Leonarda Cwalina. Rozmowa na temat nieprzezwyciężonej siły, wiążącej marynarza z morzem, nie nadaje się do udramatyzowania. Starano się temu zaradzić w ten sposób, że poszczególne punkty rozmowy, a więc wspomnienia z przeszłości rekonstruowano w formie autentycznej. Wynikiem było zerwanie jedności formy, co nigdy nie wychodzi żadnemu utworowi na korzyść. Tematy morskie, których niemało produkuje nasza Rozgłośnia, zaczynają trącić często sztucznością, usiłując robić z nas naród wyspiarzy, czy latających Holendrów. Wykonawcy (Łodziński, Ilcewicz, Rokosowski) dobrzy. — „Decyzja“ (17/6) obrazek słuchowiskowy według noweli Londona w oprac. Tad. Markowskiego. Wykonawcy: Bohuszówna, Milski. Opracowanie bardzo dobre, wykonanie, zwłaszcza męskiej roli, również. — „Aura morska“ (24/6), audycja literacko-muzyczna w oprac. Jerzego Kochanowskiego. Recytowane utwory przez Łodzińskiego i Surzyńskiego, nabrzmiałe oceanicznością, egzotycznością . . . mało miały wspólnego z naszym Bałtykiem i stały w sprzeczności z ramowym tytułem („Fala od Bałtyku“). Bez wątpienia przez większość słuchaczy przyjęte były „cum bona fide“. Morze, to morze, mniejsza oto, jakie. W wykonaniu wolałbym recytację czyli dobre wygłoszenie, niż deklamację.

W audycji dla Polaków za granicą 25/4 słyszeliśmy dialog St. Zadrożnego „Polacy na morzu“. Z natury rzeczy musiał on być informacyjny, mimo to rozmawiający z polskim kapitanem okrętu emigrant Florczak — zdumiewał ignorancją.

Władysław Jankowski

W BYDGOSZCZY

Z Teatru Miejskiego. Dnia 30 czerwca obchodził długoletni dyrektor bydgoskiego teatru Władysław Stoma 30-lecie swej pracy scenicznej i równocześnie żegnał się z Bydgoszczą, którą opuszcza po 11 latach pracy, by objąć kierownictwo Teatru Polskiego w Poznaniu. Na uroczystość jubileuszową złożyło się przedstawienie „Spadkobiercy“, komedii Adama Grzymały Siedleckiego, w której jubilat kreował rolę głównego bohatera Obierzyńskiego. Po przedstawieniu odbyła się oficjalna uroczystość jubileuszowa w obecności przedstawicieli władz i organizacji. Żywiołowe owacje w czasie uroczystości jubileuszowej i serdeczne pożegnanie dyr. Wł. Stomy były dowodem, z jak żywym uznaniem odnosi się społeczeństwo bydgoskie do pracy, talentu i zasług znakomitego aktora i dyrektora. — Po zasłużonym dla rozwoju Teatru bydgoskiego

dyr. Stomie obejmuje tę ważną placówkę kulturalną w Bydgoszczy dyr. Aleksander Rodziewicz, dotychczasowy kierownik Teatru Wołyńskiego. Nowy dyrektor, jak wiadomo z dotychczasowych jego wypowiedzi na temat przyszłych prac i planów, prowadzić będzie teatr bydgoski nadal w kierunku jego największej użyteczności narodowej i społecznej. Pracę swą rozpocząć zamierza pod znakiem Karola Huberta Rostworowskiego, którego „Judasz" w reżyserii i z udziałem Ludwika Solskiego w roli głównej zainauguruje nowy sezon. — W myśl projektu nowego kierownika Teatru Rada Miejska uchwaliła nazwać Teatr Miejski imieniem Karola Huberta Rostworowskiego.

„Tydzień Bydgoszczy", który odbył się w początku lipca, umożliwił w dziedzinie kulturalnej turystom zwiedzenie interesujących wystaw sztuki zorganizowanych przez Muzeum Miejskie, a ponadto dał poznać możliwości radiowe Bydgoszczy dzięki pierwszemu „podwieczorkowi przy mikrofonie" nadanemu ze studia bydgoskiego na fali ogólnopolskiej. Program „podwieczorku" objął produkcje orkiestry pułku „Dzieci Bydgoskich" pod dyr. kpt. Grabowskiego, pieśni w wykonaniu Hanki Wańskiej, duet Oli Obarskiej i Jerzego Lawiny, grę na fortepianie Adama Dyląga, deklamacje Janiny Jabłonowskiej i konferansjerkę Stanisława Milskiego.

W okresie „Tygodnia Bydgoszczy" wyszło z druku pożyteczne wydawnictwo Związku Popierania Turystyki w Bydgoszczy p. t.: „Bydgoszcz i powiaty: bydgoski, szubiński, i wyrzyski", opracowane przez red. Wojciecha Rzeźniackiego a stanowiące cenne źródło, informujące systematycznie o wszystkim, co zainteresować może tak mieszkańca Bydgoszczy jak i turystę w dziedzinie historii, geografii i przyrody tutejszego regionu.

Ciekawy wieczór p. n. „Polska twórczość kobieca" urządziła na zakończenie roku szkolnego młodzież Miejskiego Gimnazjum Żeńskiego. Na tle referatów, w których scharakteryzowano całą kobiecą twórczość literacką w Polsce, recytowano wyjątki z dzieł polskich pisarek od przedrozbiorowych do najnowszych. Reżyserował całość art. dram. Stefan Drewicz, a dużo pracy w przygotowanie wartościowego programu włożyli mgr N. Charkiewiczówna i prof. Fengler.

Bydgoskie uczelnie muzyczne wystąpiły z tradycyjnymi popisami uczniów, którzy w końcu roku zdawali egzamin z swych postępów przed szerszą publicznością.

Miejskie Konserwatorium Muzyczne urządziło po raz pierwszy popisy klasy operowej, prowadzonej przez prof. Felicję Krysiewiczową. Przedstawił się szereg młodych wykonawców w trzech fragmentach z oper Verdiego i Bizeta (Rigoletto, Bal maskowy, Carmen). Wyróżnili się Edward Ziemski, Witold Lakner i Witold Kozikowski. Reżyserował Hugon Zathey, artysta Teatru Wielkiego w Poznaniu. Dyrygował mgr Alfons Roesler.

Bydgoskie Konserwatorium Muzyczne W. Winterfelda przedstawiło w dwóch wieczorach dorobek swej całorocznej pracy. Popisy zespołowe i solowe licznych uczniów wykazały wysoki poziom nauki w tej zasłużonej dla kultury muzycznej Bydgoszczy uczelni, wchodzącej już w 35 rok istnienia. *K. Lewandowski*

OBJAZDOWA AKCJA TEATRALNA NA POMORZU

W lipcu br. odbyła się w Toruniu pod przewodnictwem p. wojewody pomorskiego min. Wł. Raczkiewicza konferencja poświęcona zagadnieniom teatralnym w województwie pomorskim. W konferencji tej wzięli udział: prezydent m. Torunia Leon Raszeja, prezydent m. Bydgoszczy Leon Barciszewski, dyrektor Teatru Ziemi Pomorskiej Władysław Bracki, nowy Dyrektor Teatru Miejskiego w Bydgoszczy Aleksander Rodziewicz, naczelnik Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego Seweryn Cichalewski, konserwator Jerzy Chyczewski. Na konferencję przybył również z Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Naczelnik Wydziału Sztuki dr Władysław Zawistowski. W wyniku obrad

uznano za konieczne podjęcie intensywnej stałej akcji szerzenia polskiej kultury teatralnej na Pomorzu, albowiem wobec przyłączenia do województwa pomorskiego ośmiu nowych powiatów jeden teatr nie mógłby sprostać temu zadaniu, zawiązanemu z uciążliwymi wyjazdami i koniecznością stałej pracy w terenie. Biorąc to pod uwagę oraz doceniając doniosłość kulturalną i społeczną tej akcji, Teatr Miejski w Bydgoszczy zobowiązał się do objazdowej pracy teatralnej na Pomorzu. Od nowego sezonu teatralnego będą więc działały w województwie pomorskim dwa teatralne zespoły objazdowe Teatru Ziemi Pomorskiej z Torunia i Teatru Miejskiego w Bydgoszczy. W celu możliwie ścisłego rozgraniczenia terenu działalności objazdowej obu teatrów ustalono (m. in. ze względu na dogodności komunikacyjne) podział terenu województwa pomorskiego na dwie strefy, rozgraniczone w zasadzie linią biegu Wisły. Część województwa pomorskiego na zachód od Wisły jest terenem ekspansji kulturalnej Teatru Miejskiego w Bydgoszczy, za wyjątkiem południowych powiatów. Do terenu działalności wymienionego Teatru przyłączone zostały również Chełmno i Grudziądz leżące na prawym, wschodnim brzegu Wisły i mające dogodne połączenie z Bydgoszczą. Obszary województwa pomorskiego na wschód od Wisły łącznie z wysuniętymi na południe powiatami: inowrocławskim, nieszawskim i włocławskim są terenami objazdowymi Teatru Ziemi Pomorskiej.

W szkicowaniu zasadniczych tras objazdowych przyjęto zasadę nie omijania miast mniejszych. mimo że akcja teatralna napotyka w nich nie rzadko na znaczne trudności techniczne i finansowe. W związku z tym istnieje konieczność stałej usilnej propagandy teatru w pierwszym rzędzie w tych właśnie małych środowiskach, które również powinny pójść na rękę dyrekcjom Teatrów i poczynić możliwie najdalej idące ułatwienia techniczne przy wystawianiu przez zespoły objazdowe sztuk teatralnych. Podkreślono konieczność stałego przestrzegania w przyszłej akcji objazdowej wysokiego poziomu gry aktorskiej i wystawy oraz ustalenia specjalnego repertuaru objazdowego ułożonego pod kątem stopniowego wzmagania zainteresowania teatrem i stopniowego stałego podnoszenia poziomu kultury teatralnej, w pierwszym rzędzie w mniejszych środowiskach kulturalnych.

Przy wytyczaniu teatralnych szlaków objazdowych wzięto przede wszystkim pod uwagę sieć połączeń kolejowych, zapewniającą najdogodniejszą łączność z możliwie największą ilością tych miast, w których można organizować przedstawienia teatralne. Szlak objazdowy Teatru Ziemi Pomorskiej zahacza ze względu na dogodności połączeń kolejowych o parę miast województwa poznańskiego i kilka warszawskiego. Na szlaku tym znajdą się wymienione niżej miasta pomorskie: Inowrocław, Aleksandrów Kujawski, Ciechocinek, Nieszawa, Włocławek, Kowalewo Pom., Jabłonowo, Brodnica, Nowe Miasto Pom., Lubawa. Szlak objazdowy Teatru Miejskiego w Bydgoszczy zostanie szczegółowo opracowany. Znajdą się na nim najważniejsze środowiska miejskie województwa pomorskiego na zachód od Wisły, oczywiście łącznie z terenami nadmorskimi.

Jerzy Chyczewski.

15-LECIE POMORSKIEGO ZWIĄZKU TEATRÓW LUDOWYCH

W procesie tworzenia się kultury polskiej brały udział wszystkie regiony Rzeczypospolitej. Każdy region wniósł najcenniejsze swe pierwiastki do kultury naszej — narodowej. Mowa, obyczaje, zwyczaje, stroje, pieśni, tańce ludowe, zdobnictwo, budownictwo i t. p., oto czynniki, które składają się na kulturę danego regionu. Pomorze, w skład którego wchodzą ziemie: kaszubska, borowiacka, kujawska, kraińska, lubawska, michałowska, chełmińska, kociewska, posiada bardzo bogatą tradycję kulturalną. Ta różnorodność odcieni regionalnej kultury Pomorza wymaga instytucji koordynującej poczynania i wysiłki w zakresie podtrzymywania i propagowania kultury każdej z tych ziem.

Długoletnia niewola i wysiłki zaborców działały w tym kierunku, aby zniszczyć wszelkie przejawy kultury ludowej, uniemożliwiającej wynarodowienie elementu polskiego.

Te wysiłki destrukcyjne nie osiągnęły zamierzonych celów, jednak przyczyniły się do zaniku pewnych pierwiastków regionalnych, głównie strojów i pieśni ludowych. Mamy okolice n. p. koło Torunia, gdzie trudno znaleźć nawet ślady folkloru.

Dlatego powstanie instytucji, która by w pierwszym rzędzie odbudowywała zanikający folklor i propagowała w szerokim społeczeństwie, okazało się koniecznością życiową. Z takich to głównie przyczyn, zrodziła się potrzeba powołania Pomorskiego Związku Teatrów Ludowych, który powstał w r. 1922 jako autonomiczny oddział Lwowskiego Związku Teatrów i Chórów Włościańskich. Pom. Związek jest zatem po Lwowie drugą tego rodzaju instytucją kulturalną w Polsce.

Działalność swą rozpoczął założeniem szatni strojów ludowych i zorganizowaniem 3 kół teatralnych mianowicie w Zelistrzewie pow. puckiego, Skórczu pow. starogardzkiego, w Brzusach pow. chojnickiego. Na zapoczątkowanie szatni Związek Teatrów i Chórów Włościańskich we Lwowie przesłał w lutym 1923 r. partię kostiumów, peruk oraz kilkadziesiąt egzemplarzy sztuk teatralnych.

Bardzo skromne podstawy finansowe Związku nie pozwalają zrazu na szerszą działalność. Z konieczności musiała się ograniczyć tylko do pomocy instrukcyjnej, organizowania już istniejącego ruchu teatrów amatorskich oraz wypożyczania kołom kostiumów i sztuk. Pierwszym ważniejszym momentem szerszej działalności było zorganizowanie w czerwcu 1923 r. 14-stodniowego kursu instruktorskiego. Kurs ten ukończyło 34 słuchaczy przeważnie ze sfer nauczycielskich. Absolwenci tego kursu stanowili kadrę wyszkolonych pionierów na polu szerzenia kultury regionalnej.

Dalsza działalność Pom. Związku rozbijała się nieustannie o trudności finansowe. Mimo to, dzięki subwencji rządowej i pożyczkom prywatnym zebrano fundusz, za pomocą którego wykupiono okazyjnie istniejące i konkurujące ze Związkiem szatnie (w Toruniu i w Inowrocławiu).

Rok 1926 zapoczątkowuje okres szybkiego rozwoju: a) powiększono szatnię, bibliotekę i składnicę utworów; b) zorganizowano drugi kurs reżyserski, który przysporzył terenowi nowych 45 przeszkolonych reżyserów; c) zebrano za pomocą wydanych 10-ciu groszowych znaczków fundusz w kwocie 7 000 zł. na kupno własnego lokalu.

Od r. 1928 Pom. Związek uniezależnia się statutowo od swej macierzystej organizacji t. j. od Lwowskiego Związku Teatrów i Chórów Włościańskich.

Ważnym wydarzeniem w pracy Związku to zdobycie własnego i obszernego lokalu w gmachu Domu Społecznego w Toruniu. Odtąd odpada jedna z najważniejszych trosk o siedzibę Związku.

Pomorski Związek Teatrów Ludowych ma za sobą 15 lat owocnej pracy na niwie kultury regionalnej, czego dowodem jest bardzo poważny dorobek. Jakże on się przedstawia?

1) W zakresie kształcenia wzgl. dokształcania pracowników teatralnych Związek urządził 5 kursów reżyserskich, na których przeszkolił 230 uczestników

2) współpracuje i udziela pomocy instrukcyjnej, wypożycza zespołom z terenu za zniżoną opłatą kostiumy i godne uwagi utwory sceniczne, których liczba dochodzi do 407 rocznie

3) odtwarza stroje ludowe

4) gromadzi bogatą szatnię kostiumów, zwłaszcza ludowych, których liczba osiągnęła poważną cyfrę 1245 sztuk. Biblioteka instruktorska, będąca podstawą samokształcenia teatralników, liczy 1000 tomów

5) opiekuje się ruchem wydawniczym w zakresie utworów regionalnych.

W ostatnim czasie Pom. Związek rozszerzył swoją działalność daleko poza granice Pomorza. Nawiązał bowiem kontakt z kołem transatlantyku „Piłsudski", które jako członek Związku wypożyczyło szopkę krakowską z kukiełkami i urządziło podczas podróży do Ameryki kilka przedstawień dla swoich pasażerów i naszych rodaków w Ameryce, podczas postoju w różnych ośrodkach emigracyjnych. Znaczenie kulturalno-propagandowe tych przedstawień jest ogromne. Oto w krótkim i syntecznym ujęciu przedstawiony 15-letni dorobek Pom. Związku.

Ostatni walny zjazd delegatów w dniu 13 marca 1938 r. zbilansował dotychczasową działalność Związku i dokonał wyboru nowych władz z prezesem Ratajskim Józefem na czele. Praca Związku i jej zakres na najbliższą przyszłość uległy znacznemu rozszerzeniu, głównie dzięki poszerzeniu granic Pomorza. *Józef Bruski*

ZJAZD MŁODZIEŻY POMORSKIEJ W KARTUZACH

Podczas wakacji odbył się jedyny w tym roku zjazd akademików pomorskich. Było nim doroczne spotkanie rycerzy, filistrów i giermków Korporacji środowiska warszawskiego „Cassubia" w Kartuzach. Zjazd odbył się w d. 3 lipca w salach Hotelu Centralnego, wzbudzając wielkie zainteresowanie na Kaszubach i na całym Pomorzu. Obrady zjazdu słusznie w tym roku przybrały charakter ogólno-pomorski. Stało się to z dwóch powodów. Korporacja „Cassubia" otrzymała własny sztandar, ufundowany sumptem filistrów-Pomorzan, jednocześnie program zjazdu przewidywał nie tylko ustaloną już dorocznym zwyczajem ceremonię, lecz zawierał również ważne punkty dotyczące przyszłych zamierzeń i prac młodej inteligencji pomorskiej.

Rodzicami chrzestnymi sztandaru byli: wojewoda pomorski p. min. Raczkiewicz z p. Wdzięczkowską, zasłużony działacz narodowy Rogala z p. Czarnowską, dr Kręcki z p. Kreftówną. Aktu poświęcenia dokonał ks. prał. Jank z Torunia, natomiast podniosłe kazanie wygłosił delegat J. E. Ks. Biskupa Sufragana Pomorskiego — ks. prał. Bieszk z Pelplina.

W godzinach południowych otwarta została wystawa zbiorów śp. dr Al. Majkowskiego. W godzinach popołudniowych odbył się tradycyjny komers, który przekroczył ramy miłego obrzędu studenckiego, stając się punktem zwrotnym w rozwoju zagadnień młodo-pomorskich. Obszerny referat na temat „Problem Pomorza" wygłosił filister Korporacji mgr Bernard Kula. Na uwagę zasługiwały przemówienia reprezentanta zaprzyjaźnionej korporacji „Pomerania" z Poznania, prof. Dominika Wysockiego, oraz przemówienie naczelnika Cichalewskiego z Torunia. Fakt, że młoda inteligencja pomorska uchwaliła zwrócić szczególną uwagę na problemy kulturalno-społeczne całego wielkiego Pomorza, zasługuje na specjalne podkreślenie. W zjeździe kartuskim uczestniczyli studenci z Warszawy, Poznania, Lwowa oraz delegacje korporacji polskich przy politechnice gdańskiej. W atmosferze serdecznego koleżeństwa i szczerej spójni narodowej rzucone zostały nowe myśli, które znajdą swoją pełną i dojrzałą realizację w pracach środowisk pomorskich.

B. Nuszkowski

Z *RUCHU WYDAWNICZEGO*:

LEON HEJKA: KATILINA.

Szołobułka w 3 aktach z prologę i epilogę. Kartuzy 1937. Nakł. i druk. wyd. „Gaz. Kartuskiej" 8° s. 63.

Leon Heyke (pseud. Stanisław Czernicki), ruchliwy poeta i pisarz kaszubski, autor „Kaszebskich spiewów", obszernej ballady „Dobrogost i Miłosława", „Podań kaszubskich" oraz poezyj kaszubskich ogłaszanych w „Gryfie" przedwojennym pod pseud. Czernickiego, oddał się w ostatnich latach twórczości dramatycznej. W r. 1935 ukazała się jego „szołobułka" (krotochwila) p. t. „Agust Szloga", która z dużym powodzeniem była wystawiona prawie na wszystkich scenach kaszubskich. W ub. roku ukazał się nowy utwór sceniczny Heyki p. t. „Katilina", nie odbiegający swoim ogólnym charakterem od „Agusta Szlogi", jednak od niego bogatszy w motywy, swobodniejszy w traktowaniu poszczególnych scen, zawierający dobrze zarysowane charaktery głównych bohaterów. Jest to wesoła farsa, zaprawiona specyficznym dowcipem kaszubskim, w którym celował Derdowski, oparta na bajce kaszubskiej p. t. „Gbur i sztudańce" („Gryf" 1912, nr. 5). Dwaj studenci, Katilina i Cicero (tak siebie przezwali), zadrwili z gbura, wmawiając mu, że kupiona od niego za bezcen krowa jest kozą. Gbur, poznawszy swój błąd, odpłacił „pięknem za

nadobne" — sprzedał studentom „czarodziejski czopk" (cylinder, mający spłacać wszelkie długi) za cenę znacznie przewyższającą wartość krowy. Studenci, wyprowadzeni w pole i wyśmiani przez ludzi, postanowili się zemścić na gburze i w tym celu udali się do jego chaty, tu jednak ostygła ich zawziętość — wobec nieprzewidzianej przeszkody: dwóch córek gbura, w których sobie upodobali i o których ręce rodzicom się oświadczyli. Krotochwila w tej osnowie jest prawdziwym cackiem lekkości i humoru, utrzymanym w stylu i charakterze sceny ludowej. Autor zepsuł jednak końcowy efekt, wprowadziwszy niespodziewanie motyw wojny, w tym wypadku wojny światowej, która odrywa Katilinę i Cicerona od ich narzeczonych. Krotochwila kończy się więc smutno. Końcowy motyw wojny ma umożliwić nawiązanie do romantycznego epilogu, w którym, podobnie jak w prologu, autor daje wyraz swemu przywiązaniu do ziemi kaszubskiej, zestawiając zwycięstwa Świętopełka Wielkiego nad Krzyżakami w 13 w. z wojną światową, która przyniosła Kaszubom wolność. Mimo godnej podkreślenia tendencji prolog i epilog są i ze stanowiska scenicznego i czysto literackiego dodatkami niepotrzebnymi, psującymi przejrzystość i nastrój całości.

Pomijając te uchybienia, trzeba dodać, że „Katilina", poza wyżej wskazanymi walorami, jest utworem oryginalnym i wiernie odzwierciedlającym ducha kaszubskiego, stanowiącym przeto ważną pozycję wśród bujnie rozwijającej się ostatnio twórczości dramatycznej na Kaszubach. *Andrzej Bukowski*

BERNARD SYCHTA: DZÉWCZĘ I MIEDZA.

Dramat kaszubski w 5 aktach.
Wejherowo 1938. Druk. A. Pater 8 s. 106,

W przeciągu krótkiego czasu Sychta wydał trzy utwory sceniczne: „Spiącé uejskue", wesele kaszubskie „Hanka sę żeni" i wreszcie dramat „Dzéwczę i miedza". Ten ostatni jest obrazkiem obyczajowym ze współczesnego życia na Kaszubach. Osnowę jego stanowi miłość Moniki i Stacha, zakłócona intrygą odtrąconego konkurenta Antona, który chcąc poróżnić ich rodziców, sąsiadujących ze sobą Walkuszów i Zelonków, wyoruje nocą miedzę i część pola Walkuszów na korzyść Zelonków. Intryga się udaje. Podejrzenie pada na starego Zelonkę i jego syna Stacha. Walkusz, oburzony postępkiem sąsiada, oskarża go przed sądem, a Monice, córce, każe wyrzec się myśli o związku małżeńskim ze Stachem. Tymczasem Anton umie trafić na dogodną chwilę, by jeszcze bardziej rozniecić nienawiść Walkusza do Zelonków, a sam wkraść się w łaskę ojca Moniki, który mu obiecuje jej rękę. Monika znajduje się w rozpaczliwym położeniu. Nadchodzi dzień rozprawy sądowej. Dzięki przypadkowemu świadkowi, Złochowi, który widział Antona zaorywującego w nocy miedzę, sprawa się wyjaśnia, prawda zwycięża, Anton zostaje skompromitowany, Walkuszowie i Zelonkowie wracają do dawnej sąsiedzkiej przyjaźni, Monika i Stach uszczęśliwieni stwierdzają w zakończeniu, że ich już „nie rozłączi niżodna miedza".

Utwór, w porównaniu z poprzednimi, wykazuje o wiele żywszą akcję dramatyczną, nieraz — jak szczególnie w akcie IV — o silnym napięciu. Na podkreślenie zasługują bardzo plastycznie zarysowane charaktery Walkusza, Zelonki, Moniki, Antona; bladziej przedstawia się postać Stacha. Dialog prowadzony umiejętnie, zawiera jednak fragmenty, n. p. zakończenie aktu I, scena z Ajką w akcie IV, które osłabiają dynamikę akcji. Jest to wynikiem nastawienia autora do przedstawianego przez siebie świata. Sychta jest realistą. Lud kaszubski, jego życie, mowę, zwyczaje, wierzenia i poglądy k o p i u j e w sposób wierny. Jest więc nie tylko dramaturgiem, lecz równocześnie e p i k i e m. Nie wychodzi to na korzyść utworu dramatycznego, zyskuje natomiast o b r a z. Wartość utworów Sychty leży właśnie i przede wszystkim w tym, że są one wycinkami autentycznego życia na Kaszubach. Jeśli zaś chodzi o wartości czysto literackie, dramaturg i epik muszą wziąć rozbrat. Na podstawie dotychczasowych utworów można przypuszczać, że autor obdarzy literaturę kaszubską również wartościowym dziełem epickim. *Andrzej Bukowski*